
Wiadomości Salezyańskie
N. 5 — Maj — 1912
Rocznik XVI.
Beatus qui intelligit super egenum et pauperem: in die mala liberabit eum Dominus. [Ps. XL. 1]
DA MIHI ANIMAS CÆTERA TOLLE

Najświętsza Marja Panna

JAKO

WSPOMOŻENIE WIERNYCH.

Jesteśmy przekonani, że w bolesnych wypadkach bieżących czasów tylko niebieskich pociech spodziewać się możemy, a między temi pierwsze miejsce zajmuje możne pośrednictwo Tej błogosławioncj, która w każdym czasie była Wspomożycielką Chrześcijan.

PIUS X.

Słowa te wypisane na pierwszej stronicy książeczki, którą wydali Salezjanie w Przemyślu wyrażają dobitnie w jakim celu została ona wydana: Zapoznać jak najszersze koła katolików z początkami nabożeństwa do Marji Wspomożycielki, aby w swych cierpieniach i dolegliwościach wiedzieli, jak potężną pomoc i skuteczną pociechę mają w każdej chwili w Marji, wzywanej pod tytułem: Wspomożycielki Wiernych.

Książeczkę tę polecamy naszym przezacnym Pomocnikom jak najgoręcej, ile że jej rozpowszechnianiem przyczynią się w dwojaki sposób do pomnażania chwały Bożej na ziemi t. j. popierając dobrą prasę i pomagając do wybudowania nowego Zakładu Salezjańskiego w Przemyślu.

Cena z przesyłką 1 koronę 10 halerzy (1 markę, ½ rubla).

Czytelników naszych z przesyłkami pocztowemi mało obznajomionych uwiadamiany, że chcąc zamówić książeczkę, nie potrzeba osobno pisać listu z zamowieniem i osobno wysyłać przekazu pieniędzy. Można bowiem na tymże przekazie (Postanweisung), którym się wysyłają pieniądze, napisać zamówienie w tych krótkich słowach:

Posyłam wielebnym Księżom... koron. (marek, rubli) z prośbą o przysłanie mi... egzemplarzy książki p. t.: Marja jako Wspomożenie Wiernych.

Najważniejszą rzeczą przy takich zamówieniach, jak w ogóle przy każdej wysyłce listu jest to, żeby nie zapomnieć podać dokładnego adresu.

Po książkę należy się zwracać do dyrektora zakładu salezjańskiego w Przemyślu.

ROCZNIK XVI. Maj 1912. Nº. 5.

Wiadomości Salezyańskie

Organ Związku Pomocników Salezyańskich

Turyn – Via Cottolengo, 32

TREŚĆ:

Przezacnych Pomocników, co przypadkiem otrzymują zbyteczne egzemplarze Wiadomości, najuprzejmiej prosimy zwrócić je listonoszowi z dopiskiem „zbyteczne," albo podawać je innym do przeczytania.

ZAWIADOMIENIE.

OŚWIĘCIM.

Odpust Matki Boskiej Wspomożenia Wiernych przypada w tym roku w uroczystość Zielonych Świąt, t. j. w niedzielę, 26 maja.

Porządek nabożeństw na niedzielę odpustową, 26. maja, jest następujący:

O godz. 6 rano: Msza św. z komunią Generalną.

O godz. 8 rano: Wotywa i Konferencya dla Pomocników i Pomocnic Salezyańskich.

O godz. 10 ½ rano: Uroczysta Suma z kazaniem.

O godz. 3 popołudniu Uroczyste Nieszpory.

O godz. 5 popołudniu Wieczorek ku czci Wspomożycielki Wiernych.

W dniu uroczystości Maryi Wsp. W. mogą dostąpić odpustu zupełnego ci, którzy przystąpiwszy do świętych Sakramentów, odwiedzą w dniu tym jaki kościół Zgrom. Sal. i tamże pomodlą się na intencyę Ojca św.

Najświętsza Marya Panna Wspomożycielka Wiernych wedle myśli Czcigodnego Księdza Bosko.

Często przypomina się Wiernym przyczyny, dla których Kościół Święty nadał Najśw. Maryi Pannie zaszczytny tytuł *Wspomożenia Wiernych* i dla czego ustanowił na dzień 24. maja uroczyste święto ku Jej czci. Nigdy jednak nie wspominaliśmy o przyczynach, które spowodowały Założyciela naszego do szerzenia i zaprowadzania wszędzie nabożeństwa Królowej niebios pod tem szczególnie wezwaniem.

Nim jeszcze ks. Bosko publicznie rozgłosił zamiar swój wystawienia wspaniałej Bazyliki na Valdocco, zwierzył się z nim kilku swoim zaufanym klerykom i współpracownikom. W grudniu roku 1862 rzekł w poufnej rozmowie do kleryka naówczas, obecnie Generalnego Przełożonego Zgromadzenia Salezyańskiego, Pawła Albery:

— Nasz kościółek jest za mały; w żaden sposób nie może pomieścić w swych murach wszystkich chłopców, choć ich już tak ściskamy, że gorzej doprawdy nie można. Dla tego musimy wystawić większy, piękniejszy, wprost wspaniały kościół, pod wezwaniem Najświętszej Maryi Panny Wspomożycielki Wiernych. Ja nie posiadam ani grosza: skąd dostanę pieniędzy na tę budowę, nie wiem! Lecz to mi żadnych trosk nie sprawia. —

Zwierzył się i klerykowi Janowi Cagliero, obecnemu Arcybiskupowi tytularnemu Sebasty. Powiada on: — Roku 1862 ks. Bosko zwierzył mi się, iż nosi się z zamiarem wystawienia wspaniałej świątyni, godnej świętej Bogarodzicielki. Dotąd obchodziliśmy uroczyście i z przepychem prawie, święto Niepokalanie Poczętej; i słusznie, gdyż w tym dniu założono podwaliny pod dzieło naszych kaplic świątecznych, a temsamem i pod wszystkie inne nasze dzieła. Marya Panna wymaga, byśmy Ją czcili pod wezwaniem Wspomożenia Wiernych. Istotnie wiek w którym żyjemy, tak jest zepsuty, że potrzeba wszystkiej potęgi Najświętszej Wspomożycielki, by obronić i zachować chrześcijaństwo. — A może ty podałbyś mi inny jeszcze powód, dla którego wypada mi kościół ten Maryi Wspomożycielce poświęcić?

— Wedle mnie, odpowiedziałem, kościół ten będzie matką całego przyszłego naszego Zgromadzenia i środowiskiem, z którego wypływać będą wszystkie nasze dzieła. — Na to ks. Bosko: ,,Bardzo trafnie odpowiedziałeś; Najświętsza Marya Wspomożycielka jest założycielką, będzie więc i opiekunką naszych dzieł." —

Ledwo w oratoryum rozpuszczono wieść o nowym kościele, Czcigodny sługa Boży zapytał cisnącej się koło niego młodzi, jakby nazwać wypadało i pod jakiem wezwaniem czcić powinniśmy Najśw. Panienkę w nowej świątyni.

Jakby z rogu obfitości posypały się zdania i rady: z łatwością możnaby było ułożyć nową litanię. Większość jednak podawała Maryę Niepokalanie Poczętą, Szkaplerzną i Różańcową.

Ksiądz Bosko pozwalał mowić i słuchał uważnie. Gdy się wszyscy uciszyli i oczekiwali z niecierpliwością prawie ostatecznego wyroku z ust proponują-

cego tę kwestyę, on wypowiedział swoje zdanie. Słowa jego trafiły do serc tej dziatwy i wszyscy odnieśli to święte przekonanie, iż ks. Bosko chciał w ten sposób wzbudzić w narodach chrześcijańskich i odżywić w nich niezachwianą wiarę w ostateczne zwycięztwo kościoła w walce ze światem i sektami.

Gdy zaś, przedstawiając władzy gminnej rysunek nowego kościoła pod wezwaniem M. P. Wspomożenia Wiesnych, zwrócono mu uwagę iż imię to nie zwyczajne, niestosowne do czasów, że ma w sobie coś zbyt religijnego, że trąci nawet pobożnisiostwem, ksiądz Bosko odpowiedział:

— Panie budowniczy! nauki i zatrudnienia nie pozwoliły jeszcze panu oddać się dociekaniu i badaniu przyczyn tego chwalebnego tytułu Bogarodzicy. Sięga on i nawiązuje się ze zwycięstwem przodków naszych i Hiszpanów nad flotą turecką pod Lepanto; przypomina nam odsiecz polską i oswobodzenie Wiednia i całego chrześcijaństwa ze szponów grożącego mu zagładą islamu; łączy się nierozerwalnie z imieniem księcia Eugeniusza Sabaudzkiego. —

— Wszystko to prawdziwe, historyczne powody; lecz wydaje mi się, że to imię obecnie nie jest na czasie, odrzekł z naciskiem budowniczy.

— Proszę mi tedy doradzić, podsunąć inny tytuł.

— Nie mógłby ksiądz nazwać go kościołem Matki Boskiej Szkaplerznej, Różańcowej, lub coś tego rodzaju?

— To się łatwo da przerobić, rzekł uspokojająco ks. Bosko.

— Tak; niech ks. postąpi wedle mojej rady i niech zmieni nazwę. Ta Wspomożycielka nie brzmi najlepiej; wezwanie nowe i nieznane w Turynie i mogłoby księdzu nawet niepotrzebnych przysporzyć kłopotów. Z resztą Matka Boska ma już i tak tyle tych tytułów... dlaczegóżby miano jeszcze urabiać nowe, lub rozgłaszać przestarzałe?

— Pewnie, przerwał ks. Bosko, udając przekonanego, wszelka nazwa chwalebna Najśw. Panny, choćby i najzaszczytniejsza i najpiękniejsza, nigdy nie będzie dokładna ani wyczerpująca. Proszę dać mi nieco czasu do namysłu, a wszystko w zgodzie załatwimy. —

Więc nazwa ,,Marya Wspomożenie Wiernych'' raziła uszy pewnej klasy ludzi i wydawała im się jakby wyzwaniem do walki: była przeciwną prądom rewolucyjnym, krzyżowała im plany i widoki powodzenia: to, wedle nich, nowy sztandar podnoszący się ku obronie Kościoła Chrystusowego.

Po kilku tygodniach przedstawił ks. Bosko do zatwierdzenia wykończony całkowicie rysunek. Nie było tam mowy o Maryi Wspomożycielce, chodziło tylko o zatwierdzenie planu i o pozwolenie wzniesienia nowego kościoła w dzielnicy Valdocco.

Rysunek w podziw wprawił znawców budowniczych. Ci, gratulując księdzu Bosko, z przekąsem wołali: — Ależ na to potrzeba całego miliona! Jak księże Bosko, uskutecznisz tę budowę?

— Proszę sobie nad tem głowy nie łamać, odpowiedział zagadniony; ja nie proszę o środki ani o pieniądze, proszę tylko o zatwierdzenie rysunku.

— A jak nazwać mamy ten kościół?

— To moja sprawa: panowie bądźcie tylko łaskawi udzielić mi pozwolenia wznieść zamierzoną światynię. —

Rysunek zatwierdzono i doniesiono o tem ks. Bosko, który nie omieszkał udać się do dyrektora inżynieryi, by podziękować mu za przysługę. Ten, poznawszy niezachwiany zamiar pokorniuteńkiego kapłana, rzekł: — Tuszyłem sobie, iż ks. dobrodziej nie będzie tak upartym i tak nieugiętym w swym zamiarze i że się da nakłonić do zmiany nazwy, która nie cieszy się żadną popularnością u teraźniejszego społeczeństwa a tem mniej w naszym Turynie.

— Pan inżynier, odezwał się łagodnie

ks. Bosko, nie był zadowolony z imienia przeze mnie podanego; ja nie nadałem budowie dotąd żadnego, wolno mi więc postąpić jak mi się będzie podobało.

— A więc to podstęp, oszustwo?

— Przepraszam, niema tu oszustwa ani podstępu. Pan nie chciałeś dać pozwolenia na budowę kościoła **Maryi Panny Wspomożenia Wiernych** i nie dałeś go istotnie. Ja przeciwnie chciałem na wszelki sposób pod tem imieniem go wystawić i wystawię. Obaśmy tedy zadowoleni, gdyż tak jeden jak drugi celuśmy swego dopięli. —

Inżynier się uśmiechnął, udając mimowolnie zadowolonego; ksiądz Bosko jednak był panem położenia: kościół otrzymał zamierzone imię i słynie pod wezwaniem „**Maryi Wspomożenia Wiernych**."

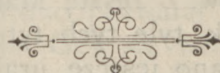
Czcigodny nasz założyciel gotów był rzeczywiście i największe ponieść ofiary, byle tylko przeprowadzić całkowicie swój zamiar. Dodać tu należy, iż ojciec nasz umocnionym został w tem przedsięwzięciu przez pewne zdarzenie, które zerwało wszelkie układy, usunęło wszystkie wątpliwości. Ojciec Święty, Papież Pius IX. przysłał na sam czas obrad nad zmianą lub też zatrzymaniem podanego wezwania, pierwszą ofiarę 500 franków na nowy kościół, wyrażając swoje życzenie, by stał się ostoją wiary i źródłem, z którego wypływać będą zdroje niewyczerpane łask tej Królowej niebios i Wspomożycielki naszej.

W końcu ks. Bosko wyraźnie oświadcza, dla czego właśnie pod tem wezwaniem, a nie pod innem, wzniósł kościół na Valdocco. Oto jak się wyraża. — Ogólne to zjawisko za dni naszych potrzeb, wzywania pomocy Najświętszej Maryi Panny. Nie chodzi tu już tylko o samo utwierdzenie w wierze chwiejnych, o nawrócenie grzeszników, o ocalenie i uchronienie od zgorszenia serc niewinnych. Są to, niestety, rzeczy codzienne, powszednie. Dziś chodzi w pierwszej linii o kościół Powszechny, o kościół Rzymsko-Katolicki. Przeciwko niemu zwracają się razy nieprzyjaciół. Nie walczą już z jednostkami, z osobami; ale przeciwko wierze samej jawnie i skrycie występują wszyscy przeciwnicy Chrystusa. Umyślnie fałszują, przekręcają i ośmieszają dogmaty chrześcijańskie, przeszkadzają w nabożeństwach, prześladują duchowieństwo zakonne i świeckie, władze i dostojników kościelnych, zaprowadzają szkoły mieszane lub z wolną katedrą religii, gdzie nie mogą zaprowadzić wprost bezwyznaniowych albo antyreligijnych. Aby więc uprosić szczególne błogosławieństwa i łaski dla Kościoła naszego, uciekajmy się do Najświętszej Maryi Panny Matki i Wspomożycielki Chrześcijan, Wspomożycielki i Odnowicielki wszechświata."

Nie zapominajmy tedy, o Szan. Pomocnicy i Przez. Pomocnice, o tych przyczynach, które w oczach czcigodnego sługi Bożego tak wielkiej były wagi, iż skłoniły go do wystawienia ku czci i chwale tej Matki Boskiej, wspaniałej świątyni. Powtarzajmy często, osobliwie w tym miesiącu, tę słodką a tak potężną modlitwę: *Maryo Wspomożycielko Wiernych módl się za nami* (1). Prośmy i błagajmy tę Wspomożycielkę naszą za Kościół Święty, wedle intencyi Ojca świętego, o nawrócenie pogan i grzeszników, o zbawienie wszystkich chrześcijan a szczególnie za naszą ojczyznę. Prośmy także, by przyśpieszyć raczyła ten dzień, w którym uroczystość 24° maja powszechnie i z uczuciami wiary spotęgowanej, wdzięczności i uwielbienia obchodzić się będzie na całej kuli ziemskiej.

---

(1) Papież Leon XIII udzielił odmawiającym to wezwanie 300 dni odpustu na każdy raz. (Brewe z dnia 22. kwietnia 1879 r.).



POBOŻNY ZWIĄZEK
Pomocników i Pomocnic Salezyańskich.

(C. D.).

ROZDZIAŁ IV.

I.

Konieczność solidarności chrześcijańskiej.

Od dawien dawna uznawano za rzecz konieczną łączenie się ludzi dobrej woli celem wzajemnego wspierania się w spełnianiu dobrych uczynków i w odpieraniu złego. Tak czynili chrześcijanie pierwszych wieków, stanowiąc między sobą niejako jedno serce i jedną duszę. Niebezpieczeństwami, na jakie codziennie byli wystawieni, bynajmniej się nie zrażali, lecz owszem zachęcali się wzajemnie do mężnego wyznawania wiary i do pokonywania przeciwności, jakie im ustawicznie groziły. Sam Pan uczy nas tej prawdy, gdy mówi, że i najsłabsze siły połączone z sobą, stają się mocnemi; a jeśli pojedynczy sznurek łatwo można przerwać, to bardzo trudno przyjdzie rozerwać trzy społem złączone. Tak zresztą zwykli czynić ludzie świeccy w swych doczesnych zabiegach. Czyż synowie światłości mają być mniej roztropnymi od synów ciemności? Z pewnością, że nie. My chrześcijanie powinniśmy się łączyć w tych ciężkich czasach, ażeby krzewić ducha modlitwy i miłości bliźniego za pomocą wszelkich środków, jakie nam nasza wiara święta podaje, aby tym sposobem jeżeli nie odwrócić, to przynajmniej zmniejszyć ono złe, które godzi na niewinność i obyczaje dorastającej młodzieży, na której spoczywa przyszłość całego społeczeństwa.

Pomimo czujności i gorliwej pracy pasterzy Kościoła, pomimo prac i wywysiłków dawniejszych i nowych Zgromadzeń zakonnych, wskutek ogólnego wyuzdania i coraz liczniejszych wrogów Boga i Kościoła i wyszukanych sztuczek, jakiemi się posługują, błędne nauki i nieporządki moralne zarażają coraz więcej rodziny, wioski i miasta, rugując z nich wiarę i cnotę i wtrącając na wieczną zgubę tysiące i tysiące dusz. Czyż może nie jest prawdą, że dziś rozsiewa się niewiarę w sposób zastraszający, a występek nie kryje się już gdzieś w ciemnościach, ale zuchwale podnosi głowę na każdem miejscu? Z codziennego życia widzimy, że w rodzinach chrześcijańskich zniknęły zgoda i spokój; ze wszystkich stron dochodzą skargi, że młodzież wyrasta krnąbrna i występna; głośno i na wszystkie strony krzyczy się i lamentuje nad zanikiem sprawiedliwości i prawości w społeczeństwie ludzkiem.

Nie wystarczy atoli narzekać, że nastały złe czasy, że źli ludzi włożyli wszędzie rękę i sieją ruiny i postrach. Na nic się przyda biadać i wołać, a potem zatopić się w głębokiej zadumie i westchnąwszy jeszcze głębiej, powiedzieć sobie obojętnie: jakoś to będzie!... Podczas kiedy my zadawalamy się tak jałową skargą, zło rośnie, przybiera rozmiary coraz groźniejsze, dusze idą tysiącami na wieczne zatracenie. Potrzeba czynów, ofiar, nie próżnych żalów. Coż więc począć?

Tam po przeciwnej stronie stoją zwarte szeregi bezbożnych, rozsiewających zło: —- otóż, my ze swej strony prze-

ciwstawmy im zwarte hufce dobrych chrześcijan, aby rozkrzewiali i popierali dobre obyczaje. Tam nauki bezbożne i nieobyczajne grożą trucizną swoją dzieciom i wyrostkom, młodym i starym, uczonym i prostaczkom — więc my wszystkimi środkami, jakie fortuna, urodzenie i religia włożyły w nasze ręce, starajmy się stawić groblę temu zalewowi. Widzimy, że wielu zabrawszy się w chwili uniesienia do pracy, dało się uwieść fałszywym mrzonkom i zeszli na manowce: — więc my zacznijmy pracować nad samymi sobą, starając się najpierw o doskonałe ujarzmienie uczuć i wyobraźni, aby w zaczętej raz pracy kierować się tylko rozumem i wolą Bożą.

Cześć wszystkim organizacyom, co śród trudnych warunków nie opuszczają żadnego środka, byle tylko jakoś zaradzić złemu. Cześć zakonom, kongregacyom, zakładom, bractwom, stowarzyszeniom, związkom, komitetom, ligom, które się coraz silniej skupiają, aby tem lepiej módz stawić opór wrogom.

Zgromadzenie Salezyańskie pełne uwielbienia dla wszystkich tych organizacyi, tak zasłużonych około wiary i ojczyzny, chce się przyłączyć do zbożnej pracy wedle sił swoich. Aby się stać pożytecznem dla społeczeństwa, zajęło się przeważnie wychowaniem młodzieży klas ubogich, bo każdy przyzna, że od dobrego lub chybionego wychowania tejże zależy dobra lub zła przyszłość społeczeństwa. Więc przez swoich synów wystawiło we wszystkich prawie krajach starego i nowego lądu szkoły i warsztaty, pensyonaty dla dziewcząt, kaplice świąteczne, szkoły niedzielne i wieczorne.

Widząc zaś, jak mu praca rosła w rękach i jak wielkie plony obiecywała ona w tym kierunku, a nie mogąc dla braku środków i rąk wniknąć we wszystkie wioski i miasteczka, obejrzało się za pomocnikami, którzyby, nie ruszając się ani z łona rodziny ani ze stanowisk, jakie zajmują w społeczeństwie, podali mu pomocną rękę do wykonania zakreślonego planu.

Wy to więc Przezacni Pomocnicy i Czcigodne Pomocnice, w waszych domach, w waszych rodzinach, na waszych stanowiskach społecznych jesteście dla Zgromadzenia Salezyańskiego jakoby owymi żołnierzami, co w czasie wojny czuwają w ojczyznie nad utrzymaniem porządku, podczas gdy wojsko liniowe bije się w otwartem polu z nieprzyjacielem. Zgromadzenie potrzebuje waszego współpracownictwa, ażeby wskutek waszych modlitw, waszych dobrych uczynków, mogło zwycięsko potykać się dla sprawy Bożej t. j. pozyskać jak najwięcej dusz dla Pana Boga. Wasze współpracownictwo jest zatem nietylko podporą materyalną i pomocą moralną dla nas, ale rzeczą nader przyjemną P. Bogu, a dla was wielce zasługującą. Zadatkiem tego są słowa Papieży i nadane przez nich odpusty Pomocnikom Salezyańskim. Wystarczy rzucić okiem na wykaz odpustów w regulaminie dla Pomocników Salezyańskich, aby się przekonać jak papieże Pius IX. Leon XIII. i Pius X. hojnie Pomocników obdarzali z duchownego skarbca Kościoła, jak wysoko cenili ich usiłowania celem ratowania młodzieży.

Zacieśnijcie więc węzły pomiędzy sobą i ze Zgromadzeniem. Jest nas kilkaset tysięcy, a codzień odbieramy zgłoszenia nowych Pomocników i Pomocnic. Łączmy myśli nasze w jedno ognisko i chwyćmy się wszyscy tych samych środków. Regulamin, który mamy w ręku, wskazuje dokładnie co należy czynić. Złączmy się jakby jedna rodzina węzłami miłości braterskiej; nawzajem sobie pomagajmy w pracy nad bliźnim naszym. Trzymajmy się wiernie naszej Głowy, papieża, jak wierny hufiec około swego wodza. Czego on pragnie, to niech będzie i naszem pragnieniem; co on wskaże i poradzi,

tego imajmy się ochotnie; a gdy woła o pomoc i doprasza się naszej ofiarności, odpowiedzmy jak dobry syn odpowiada na prośbę ojca, żądającego wsparcia dla braci. Tak czynili pierwsi chrześcijanie: *A w rzeszach wierzących jedno było serce i jeden duch.* (Dzieje Ap. IV. 32). Tak złączeni uratowali świat od zagłady. Prawda, nie znamy się wszyscy osobiście, ale cóż to szkodzi — poznamy się kiedyś w niebie, gdzie, mamy nadzieję, spotkamy się z duszami, któreśmy zbawili naszym przykładem, naszem słowem, naszemi ofiarami.

Podczas gdy czujemy żądzę pomagania innym, nie zapominajmy o sobie, a jeżeli potrzeba, zacznijmy od reformy, od poprawy samych siebie, naszych rodzin. Następnie w bractwie, w związku, w szkole, w naszej parafii, w naszej wiosce, w naszem mieście, na każdem miejscu zachowujmy się jako prawdziwi apostołowie Chrystusowi. Gdziekolwiek nawinie się sposobność przeszkodzenia złemu lub poparcia jakiej dobrej sprawy, nie usuwajmy się na bok.

Zwłaszcza Czcigodne Pomocnice niechaj swoją miłością, łagodnością, uprzejmością pociągają do Boga swoich mężów, swoje dziatki, swych krewnych i znajomych. Niech się starają żyć tak cnotliwie, skromnie, żeby o nich można powiedzieć to co powiedziano o pewnej świętej, że ktokolwiek z nią się spotykał, stawał się lepszym człowiekiem.



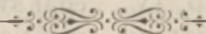
Kapela salezyańska w Kantonie (Chiny).

Związani takim węzłem, w takiej liczbie, z taką powszechną dobrą wolą, jaką zwykliście ujawniać we wszystkich pracach i zamiarach Zgromadzenia, któż nie widzi, ile dobrego można będzie dokonać?

(C. d. n.)

Uroczysty pamiątkowy obchód

ku czci KS. ANDRZEJA BELTRAMIEGO Salezyanina.



Nad jeziorem Cusio, w cudnej górskiej okolicy, rozłożyło się przemysłowe lombardzkie miasteczko Omegna. Czytelnicy nasi w N. listopadowym *Wiadomości* z roku zeszłego znaleźli obszerny opis życia i cnót zgasłego przedwcześnie sługi Bożego, którym jest ks. Andrzej Beltrami, rodem właśnie z tego miasteczka. Ponieważ rozpoczęta o nim sprawa beatyfikacyjna procesem z d. 22 kwietnia r. z. pomyślnym toczy się obrotem, przeto duchowieństwo parafialne w Omegna postanowiło uczcić sługę Bożego obchodem z mowami, i odczytami przy współudziale J. Eksc. ks. Biskupa Jozefa Gamby z Nowary, oraz Generała Salezyanów ks. Pawła Albery. Obchód odbył się w teatrze miejskim 24 marca r. b. wobec licznie zgromadzonej publiczności. Zarazem wydano pięknie ilustrowaną jednodniówkę, z której czerpiemy najwybitniejsze głosy do niniejszej wzmianki.

Oto co pisze ks. kan. Robert Geri, proboszcz miejscowy:

,,Dzisiejsze czasy dają ludziom głębiej myślącym niezwykły, tudzież przygnębiający widok. Zewsząd bowiem wieją prądy jak najdosadniej sprzeciwiące się zdrowym zasadom, poczciwym dążnościom. Pragnienia i usiłowania szlachetne nikną w gęstej pomroce samolubnych zachcianek i bezmyślnego używania. A gdzie jak gdzie, lecz w większych środowiskach przemysłowych, w głośniejszych obwodach fabrycznych to już chyba mroki owe złowróżbne wszelką przebierają miarę. I nic dziwnego: skoro z jasnych widnokręgów Wiary w Boga, w pożytek cnoty, nikłe jeno ostały się mgiełki i nieuchwytne obłoczki, to — rzecz prosta — zapanować musi walka o byt, nienawiść klasowa, upust namiętności z jednej strony, a z drugiej — niepokój, groźna o przyszłość obawa. — Jakże błogo mi jest stwierdzić, iż rodzina, współziomkowie ks. Andrzeja, wszyscy mieszkańcy tutejszego grodu kłam zadają dzisiaj tym czarnym moim zapatrywaniom. Oto zgromadzili się licznie, by żywo zaświadczyć swoją cześć dla Czcig. Sługi Bożego, który świętością życia zasłużył sobie na tę tak piękną dzisiejszą uroczystość. Co mówię? On życiem swojem ukazał nam wzór do pracowania na Niebo, zasługi zaś jego sprawiły, iż Kościół św. nie omieszka co rychlej ogłosić go Błogosławionym. A cześć publiczna ks. Andrzeja naszym również będzie zaszczytem i honorem, jak niemniej potężną dźwignią moralną.''

Pominiemy różne szczegóły uroczystości, a ze wspomnianej jednodniówki przytoczymy te tylko myśli, które najwierniej oddają charakter ks. Andrzeja.

Najpierw tłómaczymy słowa samego ks. Bosko:

,,Uważam sobie za wielkie szczęście, iż mogłem poznać Beltramiego. Widywałem go kiedy był jeszcze chłopcem, potem klerykiem, a zawszem dostrzegł w prostej jego, naiwnej, skromnej postaci bogaty skarb cnót i zasług. Sądzę, że Beltrami jak najdoskonalej odzwierciedla w sobie cnoty św. Alojzego Gonzagi, gdyż, jako student w zakładzie okazywał się wzorowym we wszystkiem i młodzieńcem o anielskiej wprost czystości obyczajów.''

— Ks. Rua żywił wysoką cześć dla ks. Beltramiego. Udał się raz przy sposobności na jego grób w Omegna, gdzie pomodliwszy się gorąco, przemówił rzewnie do obecnej tam rodziny zmarłego współbrata, winszując z serca tak rodzinie, jako też miasteczku Omegna, iż zyskało sobie potężnego orędownika w Niebie. Albowiem ks. Andrzeja strawiła nie tyle choroba fizyczna, ile raczej żar miłości Bożej, tlejący nieustannie i potężnie w jego sercu. Gdy Czcigodny Ojciec sam się już przygotowywał do wiekuistego spoczynku, udzielił błogosławieństwa przybyłej do jego wezgłowia matce ks. Andrzeja, a potem rzekł do niej:

,,Proszę teraz wyjednać u syna błogosławieństwo dla mnie i poprosić go, bym mógł szczęśliwie zasnąć w Panu.....''

— Ks. Jan Zolin, mistrz nowicyuszów w Foglizzo, pisze co następuje: ,,Czcigodna postać

mego ukochanego nauczyciela, ks. Andrzeja Beltramiego, niezatartą aż do smierci pozostanie w mojem sercu i w mej pamięci. Przez lat przeszło 12 wielu poznałem nauczycieli i towarzyszów, lecz ani o jednym z nich nie mógłbym powiedzieć: oto ten wyżej od Beltramiego postąpił w doskonałości zakonnej, roztropniejszym jest od tamtego i cnotliwszym. Albowiem, sądząc po ludzku, nie brakowało w nim żadnej z tych cnót i zalet, którymi powinien się odznaczać dobry zakonnik. Zdołał on sobie przyswoić w doskonałym stopniu ducha pracowitości i poświęcenia, owej ślicznej cechy, tak wybitnie znamionującej naszego Ojca i Założyciela ks. Bosko. Nie można w nim było zauważyć jakiejkolwiek przesady i źle pojętej surowości już to w wypełnianiu obowiązków zakonnych, już też w rozmowach, w których owszem celował wesołością i dowcipem.

Pomimo to, a raczej może dlatego — życie ks. Andrzeja było prawdziwie święte, a szczerą swą pobożnością ujmował i zniewalał sobie całe otoczenie. Prostem odmówieniem jednego chociażby Zdrowaś Maryo, lub też postawą klęczącą w ławce kościelnej budował i zachęcał do pobożności nawet najbardziej rozproszonych, lub zapominających o nieustannej na każdem miejscu obecności Bożej."

— A oto słowa drugiego następcy ks. Bosko: „Zewsząd gdzie tylko istnieje jaki dom salezyański nadchodzą do mnie gorące podzięki i głębokie wynurzenia radości z powodu rozpoczęcia przedwstępnych procesów do sprawy beatyfikacyjnej ks. Andrzeja Beltramiego. Wszyscy, co go znali, lub czytali budujący jego życiorys, mogli się przekonać, iż Opatrzność Boża szczególniejsze poruczyła mu zadanie. Miał on mianowicie dowieść, że, idąc śladami przykładów i wskazówek Wiel. ks. Bosko, każdy członek Zgrom. Salez. może nie tylko wznieść się na wyżyny doskonałości chrześcijańskiej, lecz działać niezmiernie wiele dobrego dla bliźnich, a zwłaszcza dla młodzieży. Uznajmy przytem, iż ks. Beltrami został wybrany przez Opatrzność, jako ofiara za grzechy w świecie popełniane przez tylu niewdzięcznych chrześcijan. A misya to niewymownie trudna i bolesna.... On atoli wsparty łaską Bożą, wypełnił ją z bohaterską wspaniałomyślnością i całkowitem zdaniem się na wolę Najwyższego.

— Oby Bóg nam dozwolił ujrzeć jak najrychlej ks. Andrzeja zaliczonym w poczet błogosławionych dworzan, Niebieskie otaczających trony, byśmy tem śmielej wstępować mogli w ślady jego cnót!"

— Wreszcie własne słowa ks. Andrzeja.

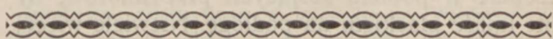
— „Nie myślcie o mojej chorobie i nie sądźcie, że zostać Salezyaninem to znaczy skazać się na ustawiczne niedomagania: moi współbracia cięszą się zdrowiem. Pan Bóg karze mię za moje grzechy, a jam z tego zadowolony, szczęśliwy i w takim stanie chciałbym żyć nawet sto lat. Cierpienie jest mojem szczęściem i nigdy nie proszę Boga o zdrowie. Dzień 20ty lutego jest rocznicą mego zapadnięcia w chorobę; będę go obchodził uroczyście, jako dzień ubłogosławiony przez Pana, jedyny, najpiękniejszy w mojem życiu.

— Odwagi zatem i wytrwałości! Wszyscy i wieśniacy i robotnicy i zakonnicy możemy zostać świętymi, bylebyśmy szczerze tego chcieli."

— Czytelnikowi polskiemu nieobojętnym będzie szczegół, iż ks. Andrzej był serdecznym przyjacielem ks. Augusta Czartoryskiego. Najpierw go uczył języka włoskiego i łaciny, a następnie, jako już kapłanem, opiekował się nim w chorobie. Nauczył się przytem od przyjaciela dosyć dobrze po polsku...

Umarł 30 grudnia 1897 roku, licząc zaledwie 27 lat życia....

— Niechże przyjaciele naszego Zgromadzenia westchną czasami do Boga, aby raczył przyśpieszyć beatyfikacyę ks. Andrzeja i, aby już teraz, przez wzgląd na jego zasługi, utwierdzał w powołaniu naszą młodzież zakonną, prowadził ją drogą świątobliwości. Módlmy się dalej wszyscy o wzrost powołań, o przysparzanie członków naszemu Zgromadzemiu, gdyż ks. Bosko pragnie, by jego synowie coraz to szersze zdobywali przestrzenie, by się krzewiła chwała Boża, a zbawienie bliźnich ułatwiało...



ZAPISKI BIBLIOGRAFICZNE.

Z księgarni salezyańskiej w San Benigno wyszedł w tych dniach drugi tom nader praktycznego podręcznika ceremonii kościelnych. Autorem dzieła jest Czcigodny ks. E. M. Vismara, profesor teologii dogmatycznej, wymowy kaznodziejskiej i liturgii w Zakładzie teologicznym w Foglizzo. Tom pierwszy dzieła doczekał się już drugiego wydania i zawiera przepisy co do ceremonii w ogóle. Drugi tom uwzględnia w szczególności wszystkie święta roku kościelnego, a najobszerniej opracowany jest Wielki Tydzień. Cena nowego tomu wynosi 3 franki. Dzieło przytacza liczne dekrety i wyciągi z rubryk. Książka została wydana w języku włoskim.

*

Misye Salezyańskie.

Opis podróży do Ameryki

przez Misyonarza Salezyanina Br. Feliksa Bürgera.

Boliwia-Sucre, 1. II. 1912.

Najprzewielebniejszy Ojcze!

Wyruszyliśmy z Genuy dnia 3-go listopada. Okręt, mający nas przenieść do odległych krain nowego świata, należał do wielkich statków morskich, mierzył bowiem 148 metrów długości; szeroki był m. 17 a wysoki m. 20. Wieża na pokładzie, mieszcząca w sobie 1-szą i drugą klasę, wznosiła się coś do 15 metrów; w wodzie nurzało się jakie 7 m. tego olbrzyma.

Podniesiono kotwicę o zmierzchu, a więc nie mogłem się nacieszyć widokiem miasta i przystani. W godzinę znaleźliśmy się na pełnem morzu. Już w przeddzień odjazdu, miałem sposobność podziwiać z brzegu bałwany morskie, ale niedość mię to ubawiło, gdyż życzyłem sobie przypatrzyć się morzu rozhukanemu w czasie burzy; życzenie moje miało się w krótce ziścić. Trudno sobie wyobrazić burzę morską w całej swej grozie i potędze. Ogromne bałwany rzucały na wsze strony okrętem, niby marną łupiną orzecha; woda zalewała pokład i sprzątała zeń wszystko, co napotkała. Niezadługo tak się rozkołysał ten nasz okręt, iż trzeba się było czepiać w pobliżu stojących przedmiotów, by nie upaść plackiem na podłogę. Niewiele więcej upłynęło nad pół godziny czasu, a już poczułem w sobie skutki tego ustawicznego kołysania się okrętu. Z razu nadrabiałem miną, by dać poznać po sobie, że mimo nieprzyzwyczajenia do takich podróży, lepiej od innych umiem znosić takie igraszki rozszalałych żywiołów; na nic wszakże się to nie przydało, bo w końcu musiałem uledz wspólnemu losowi. Odtąd chroniłem się zawsze w sam środek okrętu, gdzie nieco mniej odczuwa się kołysania tegoż. Gdy głos dzwonka wezwał podróżnych na wieczerzę, nikt się nie stawił do jadalni: żołądki nasze wcale nie były usposobione do przyjmowania pokarmu. Wśród nas byli tacy, co już po raz szósty odbywali podróż morską, a i ci nie w lepszych znaleźli się warunkach. Nad ranem burza przycichła nieco, lubo i teraz bałwany sięgały jeszcze pokładu. Puste żołądki domagały się posiłku, to też, gdy nadeszła godzina obiadu, jadalnia wypełniła się po brzegi.

Około 3-ciej z południa zarysowały się przed nami wieże hiszpańskiego miasta portowego Barcelony. Nie dozwolono nam jednak wysiąść dla zwiedzenia tegoż; jedynie współbracia nasi z tamtejszego zakładu pośpieszyli nas przywitać i złożyć nam życzenia szczęśliwej podróży i owocnej pracy wśród ludów amerykańskich. To też opuściliśmy wybrzeża Hiszpanii tego samego wieczora i pruliśmy fale niezupełnie jeszcze spokojnego morza w kierunku cieśniny Gibraltarskiej. Po 30-tu godzinach jazdy znaleźliśmy się w tej groźnej cieśninie. Groźnej mówię, bo tysiące osmalonych paszcz armatnich wymierzonych z obydwuch lądów — afrykańskiego i europejskiego — przypomina podróżnym, iż ważny to nadzwyczaj dla wszechświatowej żeglugi ten przesmyk. Okręt zwolnił nieco biegu i niemal godzina upłynęła, nim wydostaliśmy się na Atlantyk. Tutaj spotkaliśmy w powrocie do Genuy okręt włoski, do tego samego co i nasz należący towarzystwa żeglarskiego. Na wymianę pozdrowień rozwinięto chorągiewki obydwóch okrętów, aż rosnąca między nimi przestrzeń zakryła wszystko przed nami. Wprawdzie w dali majaczyły jeszcze szczyty gór, piętrzące się ku niebu na wybrzeżu afrykańskiem, ale niezadługo zmiana kierunku wałów morskich uświadomiła nas, żeśmy już na pełnym oceanie. Majtkowie, widząc bicie bałwanów z prawej strony, wywnioskowali z tego, że w zatoce Biskajskiej szaleje ogromna burza. Kołysanie się okrętu nie było jednak zbyt gwałtowne, co mię skłoniło do wyjścia na pokład, by puścić na chwilę wodze wyobraźni, podnieconej nowym widokiem. Dotychczas bowiem można było ujrzeć w pomroce nieco lądu, a teraz, jak okiem sięgnąć, jedynie woda i niebo. Niezadługo zaczęły mi się oczy kleić do snu, lubo wyobraźnia pracowała jeszcze bezładnie. Drzemię sobie oto w najlepsze na krześle, gdy w tem dochodzi mię jakiś harmider. Zrywam się na równe nogi, bo poczułem już był i wodę obok siebie, i przez głowę błysnęła mi myśl, czy nie zdarzyło

się jakie nieszczęście. Lecz to służba okrętowa czyściła pokład, polewając go przytem wodą.

W trzy dni po przebyciu Gibraltaru ujrzeliśmy przed sobą wybrzeża Senegambii. Zbliżyliśmy się do jednego z tamtejszych nadmorskich miast w celu zaopatrzenia okrętu nowymi zasobami węgla tudzież słodkiej wody. Tak to dni i tygodnie żyje się jedynie na wodzie, a i wodę trzeba jeszcze z sobą wozić, gdyż inaczej możnaby umrzeć z pragnienia; wiadomo bowiem, że woda morska nie da się użyć do potrzeb kuchennych ni do zgaszenia pragnienia podróżnych.

Nadmiar światła słonecznego przypomniał nam, że zbliżamy się do równika — pasma krain gorących, ojczyzny Murzynów. Tutaj czekały nas miłe niespodzianki. Ledwośmy przybyli do brzegu, aliści na huk strzału armatniego, zwiastującego przybycie do portu naszego okrętu, obskoczyła nas chmara murzynów na łódkach i dalejże krzyczeć łamaną francuzczyzną: „Musier, cink centim!" Wielu podróżnych poczęło ciskać w wodę po miedziaku, a ci czarni wpław za tymi groszami. Niekiedy kilku jednocześnie dawało nurka do jednej monety, a poruszenie się gładkiej jak tafla marmuru toni morskiej, świadczyło o podwodnej walce między nimi. Wysiadłszy na ląd, zwiedziliśmy osobliwości miasta, rojącego się w tym dniu mrowiem różnobarwnego ludu z powodu jarmarku. Między innymi zwiedziliśmy zakład i kościół XX. Misyonarzy, synów św. Wincentego a Paulo. Przebiegając ulice miasta zauważyliśmy pewnego młodzieńca wyróżniającego się z tłumu niezwykłem ubiorem tudzież przesadnymi ruchami jakby obliczonymi na to, by zwrócić na siebie uwagę przechodniów. Przewodnicy, Murzyni, objaśnili nam, że to jeden z synów dawnego króla tych okolic.

Mimo różnych nowości wabiących nas ku sobie, niezwykły upał — gorąco dochodziło 42° R — wpędził nas na okręt i naglił do pośpiesznego opuszczenia tego miasta; Proszę sobie wyobrazić, jak tam gorąco w lecie, jeżeli w listopadzie taka spiekota! A tu niemasz ani najmniejszego tchnienia wiatru! To też wypłynąwszy na pełne morze, poczęliśmy oddychać pełną piersią.

Odtąd przez dziesięć dni z rzędu nie mieliśmy ujrzeć lądu. Jednostajność morza przerywał nam od czasu do czasu widok przepływających opodal okrętów. Jeśli coś takiego zdarzało się nocą, to z razu wielką nam to sprawiało przyjemność; z czasem jednak i te widoki straciły dla nas wszelki powab. Taka to już natura ludzka, że i najrzadsze widoki obojętnieją bodaj najchciwszemu wrażeń człowiekowi.

Gdy morza nie marszczy najmniejsza fala, gdy ani jedna chmurka nie plamiła ogromnej kopuły niebios, a złote słońce lało obficie swe jasne promienie na zwierciadlaną powierzchnię nieobjętych okiem wód przestrzeni — ach wtedy dziwne uczucie miotało mą duszą. Czemże jest człowiek wobec tych objawów wszechmocy Najwyższego? W takich chwilach człek chętnie się pogrąża w zadumie, z której lepszym bo pokorniejszym wychodzi. Czasem, gdy wionął lekki wietrzyk, fale poczynały się poruszać zwolna — niby pole dojrzewającego zboża na żyznych polskich niwach. Wtedy trzeba się było uzbroić na odparcie napadu tęsknoty za opuszczoną ojczyzną. Tysiące głosów opuszczonych dzieci, czekających na nas, tłumiło w duszy swym krzykiem budzącą się tęsknotę za rodzinnymi progami.

Na okręcie naszym znajdowało się blizko 200 osób, oprócz służby i majtków. Między innymi mieliśmy czterech księży, a więc każdy mógł wypełniać z łatwością swe obowiązki religijne. Jak zwykle w podróży tak i tu nie brakło osób o przekonaniach religijnych zgoła różnych od naszych. Znając kilka języków, pomagałem w wymianie myśli między Niemcami, Francuzami i Włochami; nie mogłem atoli porozumieć się z Hiszpanami i Rosyanami.

Jednostajność podróży przerywały jedynie takie okoliczności, jak przekroczenie linii równikowej, napotykanie innych okrętów, płynących w odwrotnym krierunku, przyczem ożywiało się nieco nasze towarzystwo. Nareszcie po dziesięciu dniach jazdy zamajaczyło coś w mglistej przestrzeni, hen na kraju nieboskłonu: to Ameryka! Na ten widok wyrwał się głośny okrzyk z każdej piersi; wszystkich oczy jęły chciwie spoglądać w ową bezkształtną jeszcze masę i najróżniejsze uczucia mogłeś wyczytać w obliczach otaczających cię ludzi. Co do mnie — pierwsze wrażenie takie miałem: otóż moja przybrana ojczyzna, pole mej pracy dla chwały Bożej, a jeśliby się Opatrzności tak spodobało, to i miejsce spoczynku mych popiołów.

Czarna plamka przybierała coraz dobitniejsze kształty, rosła nam w oczach, aż wreszcie po dwu dniach okręt nasz przybył do przystani w Montevideo, Tutaj wysiadła znaczna część podróżnych, a reszta dążyła dalej ku Buenos Ayres, gdzie i my mieliśmy nareszcie wysiąść. Na kilkanaście mil od tego ostatniego miasta udało nam się dać pomoc jednemu statkowi morskiemu, który walczył od kilku godzin z poważnem niebezpieczeństwem. Upłynęła jednak jeszcze cała doba, nim rzucono kotwicę w Buenos Ayres. Proszę sobie wyobrazić, z jaką radością powitali nas tamtejsi Salezyanie, czekający już na nasze przybycie.

Miasto Buenos Ayres, t. j. dobre powietrze, ma wszelkie znamiona wielkich miast europej-

skich; gorączkowość zaś życia jego miliona mieszkańców, drożyzna iście amerykańska, odrazu cię uświadamiają, że tutaj przyszłość zapowiada się znakomicie. O chlubnym rozwoju ekonomicznym tych ostatnich dziesięcioleci zaświadczyła wymownie wystawa krajowa tegoroczna, urządzona na obchód 1-go stulecia niepodległości Argentyny.

W tamtejszych zakładach salezyańskich — a jest ich tam cztery — napotkałem wielu rodaków, a nawet znajomych i kolegów z ławy szkolnej. Nie zbywało nam na sposobności zwiedzania ich dokładnie, gdyż tydzień czasu mieliśmy do własnego rozporządzenia. Doczekawszy się nareszcie pociągu mającego nas zawieźć do miasta Sucre, dawnej stolicy rzeczypospolitej Boliwii, a ostatecznego miejsca pobytu na stałe, ruszyliśmy w stronę połnocną Argentyny. W ciągu tej jazdy, trwającej dwie doby, nie spotkaliśmy nic nadzwyczajnego, krom czerwonego kurzu, który przez dłuższy czas wypełniał wagony i cisnął się do oczu, nozdrzy i uszu podróżnych. Krajobraz nie odznaczał się wielką rozmaitością. Jednostajność równin tu i owdzie przerywał jakiś szmat lasu o karłowatej drzewinie. Pod koniec drugiej doby zauważyliśmy, że pociąg zaczął niepostrzeżenie wsuwać się na płaskowzgórze. Nie zadługo znaleźliśmy się na wysokości 2500 metrów nad powierzchnią morza. Jeszcze kilkanaście godzin koleją wązkotorową, wijącą się jak wąż ponad brzegami przepaścistych wąwozów i oto jużeśmy na wysokości 4000 metrów. Odrazu dała się zauważyć rzadkość powietrza, bo choć to już obok równika, słońce nie grzało silniej, niż w Polsce późną jesienią. To też roślinność tu nader uboga; obszerne górskie pastwiska skąpo żywią pasące się tu lichego gatunku owce i kozy, własność miejscowych górali o dość pierwotnej cywilizacyi. Można tu zobaczyć ludzi odzianych owczemi skórami. Wkrótce wstąpiliśmy w krainę nagich skał i piasków, ogołoconą ze wszelkiej roślinności: tu już ni drzewo ni kwiatek ni trawka nie ubawi ci oka. Smutno też, aż człeka dreszcz przejmuje.

Łatwo odgadnąć że w takiej okolicy nie może być mowy o torze kolejowym; podróżuje się wozem lub konno. Za drogi służą najeżone głazami łożyska rzek i strumyków górskich, które często sprawiają podróżnym różne niespodzinki, mogące ich nawet przyprawić o utratę życia. Jeśli w górach zdarzy się nagły opad dżdżu, to takie suche koryta odrazu wypełnia rwąca fala wód aż po brzegi, unosząc zarazem z niewymownym pędem wszystko, co spotyka na swej drodze. Biada wtedy podróżnym, jeśli nie usuną się na czas z łożyska! Rozszalały żywioł w mgnieniu oka unosi ich z sobą, jeśli nie rozmiażdży ich na miejscu pchany naprzód wał głazów. Resztki wozów, bielejące kości zwierząt pociągowych, tu i ówdzie napotykane, zbyt wymowne dawały świadectwo, iżbyśmy nie mieli uwierzyć słowom powożącego nas człowieka. Takie to rozkosze czekają podróżujących w tych okolicach.

W ciągu tej podróży zażyliśmy wszystkich niemal sposobów podróżowania; po kilkunastudniowej jeździe okrętem czekał nas pociąg o dość wygodnych wagonach, potem wązkotorowa kolejka, a nakoniec wóz. Stopniowanie nienaganne, ale nie tu jeszcze miał być jego kres. Od miasta Potosi leżącego w krainie obłoków, bo wznosi się ono 4000 metrów z górą nad powierzchnią morza, wsiedliśmy na muły i tym sposobem podróżowaliśmy aż do samego miejsca przeznaczenia. Jazda ta trwała bodaj trzy doby. Należało wieźć z sobą wszystko, co człowiekowi do utrzymania życia niezbędne; a więc zapasy żywności, pościel i tym podobne. Prawda, że co do pościeli to niewiele nas ona kosztowała: poduszką była nam kulbaka a okryciem własny płaszcz; za łóżko wybornie nam służyło jakiekolwiek miejsce na gołej ziemi, a jeśli już kto chciał się lepiej wywczasować, to posłał sobie jaką derkę, gdyż słomy nie sposób tu dostać.

Po długiem krążeniu po tym górskim kraju — gęściej zamieszkałym przez kozły i sępy niż przez ludzi, ujrzeliśmy nareszcie jakąś wioszczynę. Tutaj zostaliśmy; dwu naszych współbraci, którzy uwiadomieni telegraficznie na kilkanaście dni przedtem o naszem przybyciu w te okolice, wyjechali na nasze przyjęcie. Jakaż była nasza radość, gdyśmy usłyszeli z ich ust, iż kilka już tylko mil dzieli nas od miasta — Sucre — ostatecznego celu naszej podróży. Nie mieliśmy jednak czasu na dłuższą rozmowę, gdyż na kraju nieboskłonu zaczęły się ukazywać groźne chmury: w dali pomrukiwała burza. Dosiedliśmy tedy co prędzej naszych wierzchowców i pędzimy co tchu, by umknąć do miasta, nim rozpętają się nad nami dzikie żywioły.

Prożne usiłowania! Niebawem jęły się przewalać nad naszemi głowami olbrzymie cielska ciemno - żółtych chmur; oślepił nas blask błyskawic, ogłuszył huk grzmotów, przeraził trzask piorunów i deszcz polał się strugami na skaliste okolice. Szczęście, że zaopatrzyliśmy się byli w nieprzemakalne płaszcze.

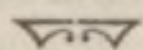
Nareszcie dostrzegliśmy przed sobą miasto. Mimo ulewy, zastaliśmy tłumy ludu, czekające na nasze przybycie. Ludność tu nader życzliwie usposobiona względem Salezyanów, czego mieliśmy liczne dowody nawet i w ciągu naszej uciążliwej podróży. Następnego dnia na łamach miejscowych dzienników widniał barwny i sążnisty opis naszych trudów i przejść, podjętych

dla dobra tubylców. Podróż ta trwała 40 dni.

Przesyłając wszystkim przełożonym i współbraciom serdeczne pozdrowienia, polecam się modlitwom wszystkich.

B. F. B.

CHINY



Bazar dobroczynny.

(*Z dziennika naszych misyonarzy*).

I.

— Wielkie klęski jednoczą bratnim węzłem ludy i narody: jestto prawda niezbita, która przynosi zaszczyt ludzkości nietylko w Europie, lecz w jakimbądź kraju na świecie.

Gdzieindziej gwałtowne trzęsienia ziemi, wybuchy w kopalniach, siejące zgliszcza pożary, zderzenia pociągów — tu w Chinach najczęściej powodzie śmierć i zniszczenie szerzą.

Takie bolesne wypadki budzą nawet tutaj uczucie miłości braterskiej i zadają kłam posądzeniom o brak serca wśród szanujących się wyznawców Konfucyusza.

Sieroty z naszego schroniska w podobnych okolicznościach nieraz były wzywane do niesienia pomocy wedle możności to jest — wygrywaniem na instrumentach muzycznych.

Tą razą atoli tak zwany *bazar*, lub raczej loterya dobroczynna ma przed sobą nader szlachetny cel. Chodzi mianowicie o zebranie potrzebnych funduszów na wzniesienie szkoły dla młodych studentów, którzy, zarzuciwszy przestarzałą i zbyt wygodną metodę doświadczalną, mogliby się racyonalnie oddawać nauce medycyny.

Otośmy właśnie wsiedli w Macao na pyszny statek angielski, mający barwę i — rzekłbym — kształty niejako olbrzymiego łabędzia.

Zalecać naszym małym posiadaczom warkoczy, by się zachowywali spokojnie i szli spać pod płócienne przykrycie na pokładzie, było to przelewać z pustego w próżne. Myśl o blizkiem wylądowaniu w Cantonie (*Chang-ching*), stolicy południowych Chin i pierwszorzędnem pod wielu względami mieście na niezmiernym obszarze środkowej części państwa niebieskiego (*Tchoung-Konk*), elektryzowała gromadkę zuchów. Cóż to będzie — marzyli sobie — gdy nas tam ujrzą, usłyszą naszą muzykę...?

I dalejże w rozprawy, przypuszczenia — całą noc się rozlegały wykrzykniki, tętniało wesele i zachwyt.

Dopiero nad ranem słodki sen odjął władzę elastycznym językom, lecz niebawem przeraźliwy, przeciągający się świst maszyny, jak poryk zranionego zwierza, pchnął na równe nogi rozespaną dzieciarnię. Zerwało się wszystko w oka mgnieniu, pędem załatwiono kłopoty toaletowe i dalejże do instrumentów. Dźwięczne i rozgłośne surmy trzydziestu hożych młodzieniaszków ogłaszały miastu, iż statek *Kouang-toung* przybija do *Rzeki perel*, jednego z najważniejszych portów w Cantonie.

Gruba warstwa mgły nieprzepuszczalną ciążyła oponą na parowcach, łodziach i ruchliwych tłumach. Wkrótce atoli przepyszny blask śmiejącego się słońca, jak gdyby zbudzonego dźwiękami naszej kapeli, rozproszył wschodnimi swymi promieniami owe senne i uporczywe zasłony, a przed naszym wzrokiem roztoczył się obraz życia o takiem natężeniu, jakie zaledwie można spotkać nad wodami Tamizy.

Nasze metalowe instrumenty połyskiem i melodyą wytwarzały w otoczeniu mniemanie, żeśmy spadli z zaświatów, z czarodziejskiej krainy.....

Stajemy na lądzie. Rozciekawione fale ludu tamują nam przejście.

— Czyż to doprawdy nasi ci chłopcy, co wydmuchują tak piękne nuty z owych złotych kiszek?

— Ma się rozumieć! *Jao pin!*

Noszą warkocze — nie widzisz?

— A jakżeż się oni nauczyli?

— Licho ich tam wie.

— To może tamci ludzie z Zachodu, co ich tak wyćwiczyli.

— *Holok!... holoh!... Ikonok yan!* (Swietnie, wyśmienicie! to są Włosi!) Z takiemi mniej więcej spotykaliśmy się uwagami. A w miarę jak postępowaliśmy naprzód, rosło podziwienie, zdumienie, zachwyt. Rzeczywiście: prawowierny mające wygląd dzieci chińskie przez artystyczne dęcie w instrumenty, urosły w oczach ludności Cantonu na tytanów, na istne a niebywałe cudo.

Przy dalszym pochodzie w głąb miasta należało przerwać wygrywanie marszów a instrumenty trzymać pod pachą, gdyż czekała nas nielada robota: ścisk i tłok z przodu i z tyłu — więc my łokciami i kolanami torujemy sobie drogę, aby się jakoś naprzód przedostać.

Na czele kroczyło dwóch małych doboszów — wybijali nam takt na bębenkach.

Mimo to, trudno było utrzymać jakikolwiek ład. Fala ludu przerzucała chłopcami, jak wiatr pierzem ku wielkiej desperacyi p. kapelmistrza, poczciwego br. Carmagnoli. Powiewające jedynie w dali chwiejne widmo sztandaru gromadziło od czasu do czasu pogubionych malców.

— Nareszcie znaleźliśmy się w całości i bez

* *

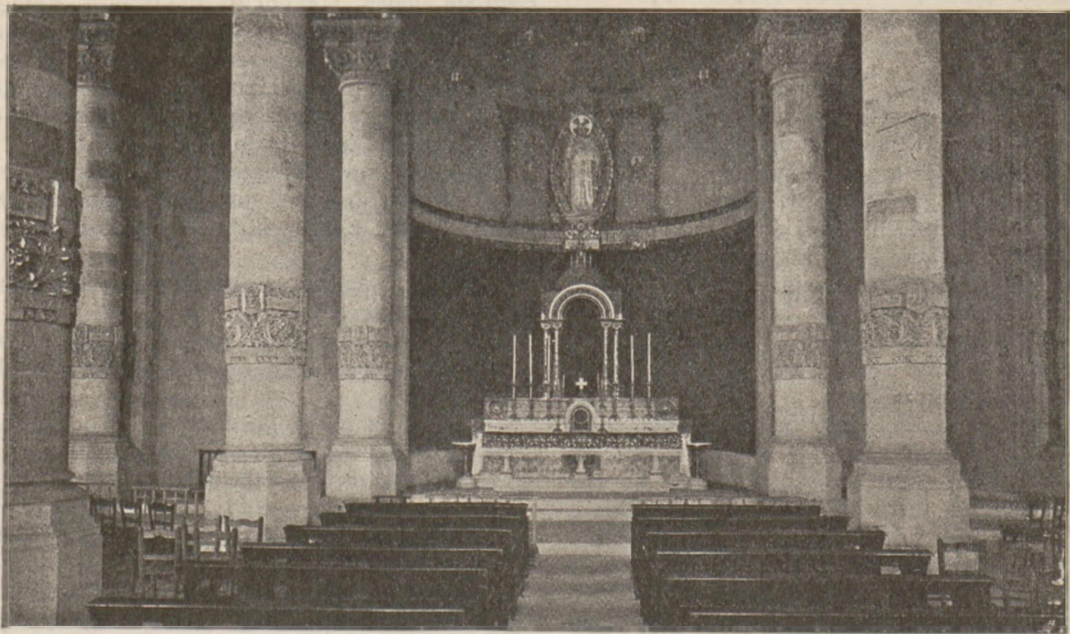
szwanku pod sklepieniami wspaniałej katedry, której dodawała czaru gęstwa podzwrotnikowego kwiecia.

Po krótkiej modlitwie złożyliśmy hołd J. Eksc. Mons. Merel, Wikaryuszowi Apostolskiemu na Chiny południowe.

Zmęczenie dawało nam się dobrze we znaki, lecz należało bądź co bądź zachować młodzieńczą butę i możliwy animusz. Ruszyliśmy tedy do siedziby przeciwników palenia opium, gdzie nas oczekiwał pan Chan Wai Pó, szczyt uprzejmości towarzyskiej, oraz dusza i życie nowego bazaru.

swym wyznawcom tej powolnej trucizny. Szlachetni owi panowie nie mogli wyjść z podziwienia na wieść, iż cudzoziemiec, samotny, oddalony Starzec troszczy się o dobro ich olbrzymiego państwa. *Papież* innemi słowy to najczcigodniejsza na świecie postać w oczach tych panów pogan! Papież! Jakżeż on się im wówczas wydawał wzniosłym i większego o wiele godnym szacunku i wdzięczności, aniżeli ich tułający się Lama, śmiechu wart tylko i politowania!

W pobliżu stoi słynna pagoda *Ng-pak-lo-hon*, czyli pięciuset mędrców buddyjskich, którą



Krypta świątyni narodowej na górze Tibi Dabo (Hiszpania).

Pierwszem naszem wrażeniem było przejście przez pracownię fotograficzną, o zadziwiającej działalności i powodzeniu — wszystkie ściany tak tam obwieszone fotografiami, że szpilkiby nie wsadził

Są to fotografie ex-palaczy opium, owych dobrowolnych pokutników, którzy wystawioną na widok publiczny swą wychudłą postacią pragną wykazać skutki tego zdrożnego nałogu.

Do stołu podano wyborną herbatę. Towarzystwo najwykwintniejszych członków miejscowego obywatelstwa zabawiało nas rozmową o chwalebnych wysiłkach, jakie szlachetniejsze jednostki ponoszą celem wykorzenienia zgubnego nadużycia opium.

Wypadało — rzecz prosta — zauważyć, jak Kościół katolicki oddawna już surowo zabronił

już raz opisywałem. Chłopcy nasi pomimo wszelkich dobrych chęci zachowania powagi i należytej grzeczności, nie mogli powstrzymać dławiącego ich śmiechu wobec tak majestatycznei wyrzeźbionych bredni pod postacią pięciuset banalnych maszkar bez kształtu i nazwy.

Podczas gdym z uszanowaniem oglądał po raz wtóry okrągłą i pokaźną statuę naszego Marka Polo, powiedziano mi, że wielki bałwan w środkowym ołtarzu przedstawia niejakiego *Kin-loung*, czwartego cesarza z teraźniejszej dynastyi mancejskiej, który w nagrodę za hojną opiekę, udzielaną Buddyzmowi odziedziczył — jak zapewniają bonzowie — pięćset dusz owych pięciuset mędrców.

Zapytałem, czy też przypadkiem nie wchło-

nął w siebie także duszy owego cudzoziemca, to jest Marka Polo (1).

— Bezwątpienia — odrzecze z powagą pewny siebie bonza. Albowiem Marek Polo — mówił — z powodu swej cnoty i mądrości uważany jest za jednego z naszych. Ten kto jest cnotliwy, wszędzie znajduje ojczyznę.

Pochlebiła mi taka cześć dla ś. p. Marka Polo i miałem właśnie zapytać, w jaki sposób ów pan *Kin-loung* zdołał wchłonąć w siebie pięćset dusz, bez wystawienia się na niebezpieczeństwo niestrawności duchowej. Uznałem przecież za właściwsze dać pokój niefortunnym nagabywaniom, by nie wybuchnąć nieprzyzwoitym śmiechem, który od dłuższego już czasu w krtani mi drgał.

Dziwne losy owych pięciuset mędrców drażniły niepomału naszą ciekawość, lecz niestety czas naglił, a należało jeszcze myśleć o pewnej obowiązkowej wizycie.

Udaliśmy się zatem niezwłocznie do Izby handlowej, mającej nadzwyczajną doniosłość dla całego Cantonu. Tutaj drukują dziennik „72ch rodzajów" (*ts'at shap y hong*), tu też jednoczą się z wielu względów co najważniejsze sprawy całej prowincyi *Kouang-toung*.

Wiadomą jest rzeczą, na jak nizkim stopniu stoją prawa w państwie Niebieskiem.

Wszyscy przeto szanujący się panowie Chińczycy, a zwłaszcza kupcy, zmuszeni są bronić własnych interesów przed chciwością mandarynów za pomocą silnych organizacyi; a trzeba przyznać, iż w tworzeniu tychże, szczególniejszemi odznaczają się zdolnościami.

Mieliśmy tu wyborną sposobność rozpatrzenia się w całym niezmiernie zagmatwanym systemie drukarni chińskiej: ileż tam potrzeba było przestrzeni, podziałów i podpodziałów na rozmieszczenie tylu tysięcy głosek tak odmiennych jedna od drugiej i tak trudnych do rozpoznania!

Nasi jednakże mali muzycy, co wykazali w ciągu dnia niepoślednią wytrwałość w dreptaniu i nieustannem wygrywaniu, odczuwali krzyczącą potrzebę bezwzględnego wypoczynku.

Późno już było, gdyśmy się nareszcie skierowali w stronę szpitala *Fong-pin-y-yün*, naszej prowizorycznej siedziby.

Po tak hałaśliwym i pełnym we wrażenia dniu nastąpił wreszcie godny pozazdroszczenia pokój pod tchnieniem nocnej ciszy.

Każdy spał w najlepsze. Cóż tam którego z nas obchodziło owo hałaśliwe rojowisko, owo życie zawrotne dwumilionowego miasta?.....

Zdawało nam się, żeśmy na pustyni. Lecz ten błogi spokój, tę ciszę głęboką przerywał nam jeden jedyny głos, kołysał się nam ponad głową i słodko, rozkosznie dźwięczał; a był to głos wydany przez setki i tysiące pogańskich ust, zasłyszany przez nas podczas pochodów dziennych.

— *Pinkó?* (Kto oni?) pytali jedni drugich na nasz widok.

— *Tin tchii kao!* (Są to mali czciciele Boga) brzmiała odpowiedź.

— *Bóg!* Dawało się, słyszeć z ust wielu przechodniów — *Bóg!* powtarzano z progów domostw, ze sklepów, ze świątyń. — *Bóg!*...... *Bóg!*..... *Bóg!*.....

I echo tego słodkiego Imienia, na którego dźwięk weselą się niebiosa, ziemia się schyla, a piekielne drżą przepaści, tętniało w naszem sercu droższe i słodsze od arf melodyjnych, od harmonii anielskich.....

— *Bóg!*...... *Bóg!*.....

— Niech będzie Bóg uwielbiony, z upojeniem szeptały nasze usta, niech będzie uwielbione święte Imię Jego!

Owego dnia nasza misya była spełniona....

Ks. Jan Fergnani.

(1) Marko Polo, sławny swego czasu podróżnik po dalekim Wschodzie, żył w XIII wieku; zwiedził i opisał Azyę Środkową, Wochodnią, Indye i Chiny. Umarł r. 1323. Opisy Marka Polo pobudziły Kolumba do szukania drogi morskiej do Indyi Wschodnich.

SKARBIEC DUCHOWNY.

Pomocnicy Salezyańscy, którzy **wyspowiadawszy się i przyjąwszy Komunię św.**, odwiedzą nabożnie jaki Kościół lub Kaplicę publiczną albo, jeśli żyją wspólnie, własną Kapliczkę i tamże **pomodlą się** na intencyę Ojca św., zyskać mogą następujące **odpusty zupełne:**

a) **każdego miesiąca:**

1) w dzień, przez każdego dowolnie obrany.
2) w dzień, w którym odprawią ćwiczenie dobrej śmierci.
3) w dzień, w którym wezmą udział w konferencyi Pomocników Salezyańskich.

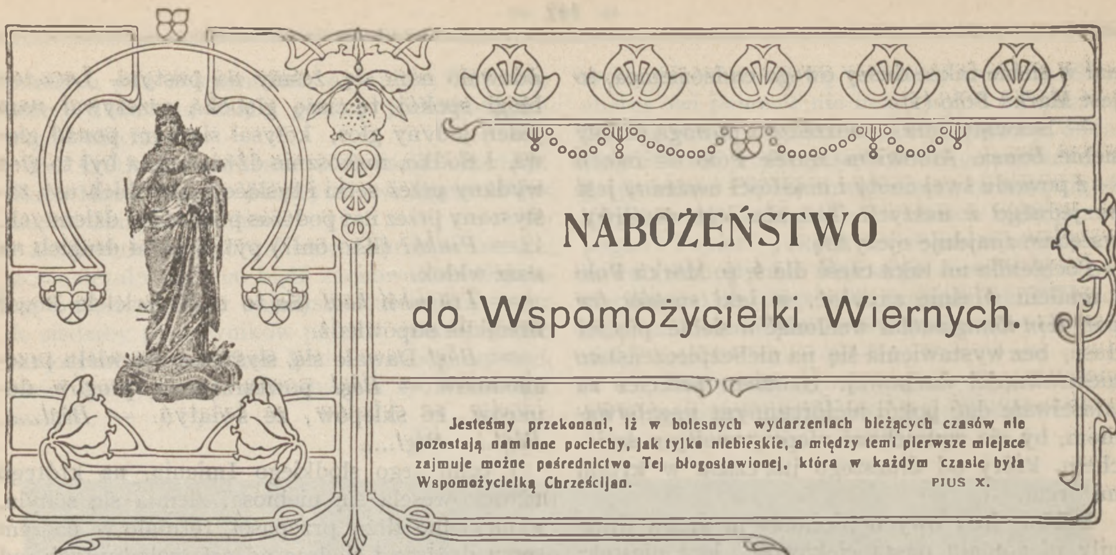
c) **od 1° maja do 1° czerwca:**

1) W dzień Odnalezienia Krzyża św. (3° maja).
2) » Objawienia św. Michała Arch. (8° maja).
3) Wniebowstąpienia P. N. J. Chr. (16° maja).
4) Najśw. M. P. Wspom. Wiernych (24° maja).
5) Zielone Świątki (26° maja).

c) **od 1° czerwca do 1° lipca:**

1) W niedzielę Trójcy Przenajśw. (2 czerwca).
2) W Boże Ciało (6 czerwca).
3) Św. Jana Chrzciciela (23 czerwca).
4) W oktawę św. Jana Chrzciciela (30 czerwca).

Nadto: Zyskać mogą zawsze, będąc w stanie łaski (bez potrzeby nawiedzenia jakiego Kościoła lub przystąpienia do Sakramentów śś.) wszystkie odpusty stacyjne w Rzymie, Porcyunkuli, Jerozolimie i św. Jakóba w Kompostelli, jeśli odmówią *5 Ojcze nasz, Zdrowaś i Chwała Ojcu* za pomyślność i potrzeby Kościoła i jedno *Ojcze nasz, Zdrowaś i Chwała Ojcu* wedle intencyi Ojca św.



NABOŻEŃSTWO do Wspomożycielki Wiernych.

Jesteśmy przekonani, iż w bolesnych wydarzeniach bieżących czasów nie pozostają nam inne pociechy, jak tylko niebieskie, a między temi pierwsze miejsce zajmuje możne pośrednictwo Tej błogosławionej, która w każdym czasie była Wspomożycielką Chrześcijan. PIUS X.

Ognisko nabożeństwa do Maryi Wspomożycielki w Polsce.

Już od zarania chrześcijaństwa uciekano się do Maryi o pomoc w najróżnorodniejszych potrzebach. Świadczą o tem całe dzieje katolickiego Kościoła. W Imię Maryi uśmierzano jadem trącące herezye, pod Jej sztandarem wychodzili z walk bohaterowie, uwieńczeni w wawrzyny zwycięstwa. Atoli nabożeństwo do Maryi, jako Wspomożenia Wiernych, zostało zatwierdzone przez Kościół dopiero w r. 1571, kiedy to pap. Pius V., po odniesionem, pod Lepanto, zwycięstwie nad Turkami, wcielił do Litanii Loretańskiej wezwanie „*Wspożenie Wiernych, módl się za nami.*“ W r. zaś 1814, pap. Pius VII., wywiązując się z uczynionego ślubu (*), ustanowił na dzień 24-go maja święto Maryi Wspomożenia Wiernych i rozciągnął je na cały Kościół. Odtąd nabożeństwo do Wspomożycielki poczęło się rozrastać coraz to bardziej. Uzupełnienie swe jednak, jeśli tak rzec można, znalazło dopiero w pierwszej połowie XIX stulecia, kiedyto X. Jan Bosko, wielki wychowawca młodzieży, oddał swe Zgromadzenie Salezyańskie pod opiekę Wspomożycielki. Gdzie bowiem synowie X. Bosko zatkną swą chorągiew, tam też rozbrzmiewa zaraz i chwała Maryi Wspomożenia Wiernych.

Lecz Marya, która w sposób szczególny upodobała sobie w naszym narodzie i gdzie pod różnemi wezwaniami odbierała cześć od synów wiernej Polski, chciała tu i pod wezwaniem Wspomożenia Wiernych być czczoną. Bo jeśli kto, to przedewszystkiem nasza stroskana Ojczyzna, w ciężkie od stu z górą lat okuta kajdany, potrzebuje opieki Niebieskiej. Miejscem, w którem miała założyć sobie tron — miejscem z którego niezliczone miały na naród nasz spływać łaski, to stary gród Piastowski, Oświęcim.

Pani?... Dokąd Ty idziesz tak cudnie ubrana?
Z śnieżnych lilii Twa szata, wysiana w brylanty,
Skronie zdobne w dyadem, w perły, dyamanty.
Pięknaś jak wiosna, z maja świeżości utkana. —
    Spieszę ja, gdzie w krainach, ciemne szumią lasy,
    Tam, gdzie gajom zielonym śpiewają słowiki,
    Gdzie przygrywają łąkom kwieciste strumyki,
    Gdzie w zbożopławnej ziemi świecą Tatr szałasy. —
A który kraj ten, spytasz, tak piękny, uroczy? —
To tyżeś, luba Polsko! nad Wisły brzegami
Królowa na cię czeka z bogactwy, z darami:
    W Oświęcimskiej świątyni od dymów się mroczy,
    Tam przed Maryi ołtarzem ku niebu się wznoszą
    Modły i od Dziewicy co zechcą, uproszą.

Oświęcim, miasteczko, na pagórkowatem nieco położone wzniesieniu, przy ujściu bystrej Soły do Wisły, nadaje się bardzo do szybkiego rozkrzewienia nabożeństwa do Wspomo-

(*) Trzymany w więzieniu przez ces. Napoleon I. uczynił ślub, że jeżeli Wspomożycielka dopomoże mu się uwolnić z tegoż, ustanowi na Jej cześć święto.

życielki. Leży bowiem na pograniczu trzech wielkich mocarstw: Austryi, Niemiec i Rosyi. Posiadało ono już od XIII wieku klasztor dominikański ze wspaniałym kościołem, poświęconym czci Najśw. Dziewicy. To też był on przez kilka wieków warownią przeciw zakusom niewiary, ogniskiem szczęścia i spokoju, a nawet tarczą obronną przeciw hordom nieprzyjacielskim. Atoli nowe a zatrute prądy XVIII wieku wzruszyły potężnemi jego filarami. Runęło sklepienie! Runął dach! Ruiny zaś dostały się w ręce żydów. Z celi natomiast, w której zgasł ostatni, na wymarcie skazany, zakonnik, nie zostało ani śladu... To owoc Józefa II.! Ale Marya czuwała nad swoim przybytkiem, czuwała nad swoim narodem. Ona nie chciała, by uległ zgubnemu prądowi. Ona go strzegła, jako źrenicę oka. Wszak Ona Matką jego — Ona Królową Korony Polskiej. Więc kiedy niekiedy, wedle podania, pojawia się jako Wspomożycielka, na omszałych ruinach. Potem, za pośrednictwem pobożnych osób, sprowadza aż z hen! z poza niebotycznych Alp, synów X. Jana Bosko, a oddając im w ręce wykupione z przyległą ziemią ruiny, każe odbudować sobie świątynię, a opuszczonej młodzieży polskiej wystawić zakład. Młodzież bowiem to chluba, to kwiat i rdzeń najlepszych i najżywotniejszych sił narodu, to najdroższe dziedzictwo Ojców, skarb i przyszłość Ojczyzny.

Zbudźcie się wieszcze, powstańcie prorocy i tchnijcie w kipiącą krew synów waszych, zdrowego ducha; uderzcie, mistrze, w szlachetne struny pojętnego dziecięcia; nauczyciele, podnieście prawicę i pchnijcie w wyżyny wzniosłe jego porywy: niechaj się to delikatne serce rozpali i płonie czystą miłością Chrystusa i czynną, współczującą miłością bliźniego. Żądny zaś wiedzy i chciwy jego umysł niechaj się nurza w skarbach niekłamanej prawdy, a wola niechaj się wzbije ponad wszechświat gwiaździsty — tam, gdzie jest Bóg, tam gdzie piękno nieskalane, gdzie życiodajna, wiekuista prawda, gdzie nieśmiertelne dobro człowieka, a stroskana Ojczyzna nasza pociągnie ku sobie wzrok wszystkich narodów, tak jako ogród w pełni zieleni kwiecia, i balsamicznych woni, nęci ku sobie oczy patrzących! — Zadziwią się wtedy ludy i mówić będą: „Cóż to za kraj tak piękny, cóż to za szczęśliwi jego obywatele?“ A my im z dumą powiemy: „To Polska, a to — nasi synowie, wykołysani przy piersach katolickiej matki.“

Tak starają się kształcić młodzież po zakładach Salezyańskich — tak w zakładzie ks. Jana Bosko w Oświęcimiu. Tam młódź pod sztandarem Wspomożycielki, bieży ku swoim ideałom, ku przeróżnym swym celom. A co za radość spojrzeć na ten dziarski zastęp młodzieży, kiedy to w świątyni Wspomożycielki, w rozmodleniu słucha codziennie mszy św., kiedy się widzi tych malców przystępujących gromadnie do św. św. Sakramentów, gdy z tych niewinnych piersi wydobywa się dźwięczna, serdeczna pieśń na cześć Niebieskiej królowej, kiedy się słyszy podczas Różańca tylekroć powtarzane „*Zdrowaś Maryo.*“ Wtedyto niejednemu przychodniowi stanie łza w oku, a z głębi wyrwie się mimowolnie westchnienie: „O jakże szczęśliwi ci chłopcy, to zaiste dzieci Maryi.“

Ale nie tylko w zakładzie rozbrzmiewa chwała Wspomożycielki. Zakład to tylko ów kamyk rzucony w lustro wody, która przezeń poruszona, zatacza corazto szersze kręgi, aż z czasem dosięgnie brzegów. Zakład to owe ognisko, w którem skupiają się wszystkie promienie załamanego światła. Świadczą o tem obrazy Wspomożycielki na ścianach domów polskich — świadczą medaliki i szkaplerze noszone na piersiach naszych rodaków, niezliczone a poważne łaski ogłaszane na stronicach polskich „Wiadomości Salezyańskich,“ liczny napływ ludności do świątyni Wspomożycielki, szczególnie w dni odpustowe — świadczą wreszcie o tem dziesiątki tysięcy Pomocników Salezyańskich, których liczba z dniem każdym wzrasta.

Wzmocnijmy się więc Bracia i nie traćmy nadziei! Wspomożycielka naszą Matką i Królową! Miejmy nadzieję, a ona nas nie opuści. Nadzieja dodaje otuchy, nadzieja krzepi serce i męstwo podnosi — nadzieja rozpala sto ognistych gwiazd nad mroczną nocą, nadzieja dźwiga omdlałe ramiona i wiedzie na drogę czynu.

A ty, młodzieży, nieś wysoko Wspomożycielki sztandar!... Nie lękaj się jarzma, włożonego na siebie! Wszystko zdobędziesz, zbudujesz, rozpalisz, udźwigniesz i wykonasz, jeśli pojmiesz, czem *karność*, *obowiązek* i *cnota!*

„Nie tenci żeglarz, co płynie po wodzie
Nie poruszonej wiatrami w przygodzie;
Ale kto wały, gdy biją najciężej
Wiosłem zwycięży!...

Nie ten zwycięży, kto wytrwa przy sztandarze bez trudu, mozołu, wysileń i walk, ale ten, co tysiąckroć łamany, nie upadnie, wielokroć szarpany nie odstąpi, nie jeden raz wichrem miotany, celu nie zgubi, drogi nie zmyli i jarzma na się włożonego nie zrzuci. Wypłyń, młodzieży, z sztandarem swoim na wielki ruch życia w przyszłości tej, do której się zbliżasz!

Niech ci sto słońc świeci nad drogą cnoty, byś zmroku w niej nigdy nie znała! Niech cię niosą wielkie skrzydła cnót bohaterskich i narodowych! Obyś zyskać zdołała dla narodu zapłatę z rąk Najwyższego, daną w szczęściu i wolności Ojczyzny, Matki twej drogiej! Lecz jeśli nie zrozumiesz, czem są obowiązki przyjęte i na ramiona włożone, jeśli nie zdołasz być karną i nie wytrwasz w pracach olbrzymich — nie dopłyniesz do celu i jarzma nie uniesiesz... Niech każde rano, budzące ze snu, pyta cię o! młodzieży: Będziesz dziś przy Wspomożycielki sztandarze? — Niech każdy wieczór zachodzącego słońca złoci twe czoło błyskiem zasługi, iżeś w dniu tym spełniła wszystko, do czego byłaś obowiązana. Wtedy pocznie lśnić w Polsce odrodzenia gwiazda i pęta niewolnictwa opadać będą jak strupieszałej kory ostatki..... bo tylko *cnoty — pracy i karności* trzeba narodowi, aby był olbrzymem i wolnym.

Młodzieży!... *Idź i czyń!*

Łaski Maryi Wspomożycielki.

Byłem bardzo chory cały rok do tego stopnia, że doktorzy stracili nadzieję zupełnie. Kilka razy robili mi ciężkie operacye. Czaszka zaczęła próchnieć! Prosiłem X. X. Salezyanów o modlitwy i nowennę i oto cud się stał prawdziwy: spróchniałe kości z czaszki były wyjęte *bez usypiania:* bólu prawie nie czułem, choć operacya była straszna; trwała ona ze 20 minut! Miał robić doktor *pod chloroformem operacyę,* ale w ostaniej chwili zmieniliśmy postanowienie. Ufny bowiem w pomoc N. P. Maryi W. W. poddałem się tak, odmawiając w czasie operacyi „*Zdrowaś*“. Chociaż byłem umierający i nawet dwa razy już na śmierć dysponowany, chociaż wszyscy nadzieję stracili i płakali nademną... dziś jestem już o tyle zdrowy, że od paru miesięcy wszystkiem się zajmuję.

Luty 1912.

ks. A. O.

***

Dotknięty poważną chorobą, zwróciłem się z całą ufnością o pomoc do N. P. Maryi W. W., przyrzekając w razie wysłuchania ogłosić otrzymaną łaskę we Wiadomościach Salezyańskich, oraz ofiarować mały datek na cele Salezyańskie. Matka Najśw. nie zawiodła; dlatego też wywiązując się z mego przyrzeczenia, przesyłam przyrzeczoną skromną ofiarę, prosząc jednocześnie Matkę Najśw. o dalszą pomoc w mojej pracy parafialnej.

Łaskarzew (Królestwo Polskie) 1912.

ks. Fr. Cieśliński.

***

Wywiązując się zdanego przyrzeczenia, dziękuję N. Sercu J. i N. P. Maryi W. W. za uzdrowienie chorego brata i przysyłam skromny datek na cele salezyańskie, prosząc N. P. Maryę o dalszą opiekę.

Soboty, 12. I. 1912.

Helena Bełakowicz.

***

Znajdując się w bardszo ciężkich okolicznościach, udałam się z ufnością do M. B. Wspomożycielki i zostałam wysłuchaną. Odtąd jestem szczęśliwą i zadowoloną ze swego stanu. Za to więc i za inne łaski składam gorące i najserdeczniejsze podziękowanie N. P. Maryi W. W., prosząc o ogłoszenie tego we Wiadomościach Salezyańskich.

Okno, 12. I. 1912.

L. S.

***

W ciągu dwóch lat mieliśmy kilka bardzo przykrych napaści od osób obcych i pewne nieporozumienia w rodzinie. We wszystkich tych wypadkach zwracaliśmy się zawsze pod obronę Matki Najśw. i zawsze zostaliśmy wysłuchani. Cześć zatem, chwała i dziękczynienie tej Matce Najśw. i B. Sercu Jezusa.

M. Dubienka, 13. I. 1912.

Jan i Feliksa Krakiewicz.

***

Proszę ogłosić niniejsze podziękowanie we Wiadomościach Salezyańskich: tak bowiem przyrzekłem M. B. Wspomożenia Wiernych wrazie wysłuchania, w następującej potrzebie.— Przed rokiem zostałem wydalony z zatrudnienia. Będąc w krytycznem położeniu, całą ufność swoją złożyłem w Sercu Jezusowem i w N. P. Maryi W. W. i zostałem wysłuchany. Po roku otrzymałem stanowisko lepsze od pierwszego; składam Im zato serdeczne podziękowanie.

Sokół, 15. I. 1912.

Jan Bruchal.

***

Przejęta głębokiem uczuciem wdzięczności, składam N. Sercu J. i N. P. Maryi W. W. publiczne podziękowanie za doprowadzenie do celu syna mego, za odzyskanie zdrowia i wiele innych łask, prosząc N. Serce J. i N. P. Maryę W. W. o błogosławieństwo dla mego syna.

Gniezno, 24. I. 1912.

Antonina Gońska.

*
* *

Przed rokiem zachorowała mi siostrzenica pięcioletnia tak niebezpiecznie, że lekarze zwątpili o jej wyzdrowieniu. Wtedy w mojem utrapieniu udałam się do Lekarki Niebieskiej, N. P. Maryi Wspomożenia Wiernych, polecając Jej małą Halinkę i przyrzekając, że, jeśli prośba moja zostanie wysłuchaną, poślę na mszę św. dziękczynną. Ufność moja w cudowną pomoc nie zawiodła mnie; zaraz bowiem nastąpiło polepszenie i chora w krótce przyszła do zupełnego zdrowia. Pełna wdzięczności wywiązuję się z danego przyrzeczenia i błagam o dalszą opiekę nad Halinką.

Golub, 29. I. 1912.

W. Tylicka.

*
* *

Córeczka moją pięcioletnia zapadła na febrę. Żadne lekarstwa nie skutkowały. Lekarz radził zmianę powietrza. Ponieważ to dla mnie było za trudno, poleciłam ją tylko opiece N. P. Maryi Wspomożenia Wiernych, odprawiając równocześnie nowennę do tej najlepszej Matki i do B. Serca J., przyrzekając zarazem złożyć dar na cele salezyańskie: i o cudo! Córeczka moja wyzdrowiała zupełnie. Wywięzując się przeto z danego przyrzeczenia składam skromną ofiarę na cele salezyańskie i na mszę św. dziękczynną.

Grodziec (Królestwo Pol.), 2. II. 1912.

Antoni Kareł.

*
* *

Doznawszy wielkiej łaski od N. P. Maryi W. W. i N. Serca Jezusa na cudownem polegającej uzdrowieniu 7 letniego syna mego Wiktora od ciężkiego zapalenia ślepej kiszki w stanie tak groźnym, że lekarze nie mieli żadnej nadziei utrzymania go przy życiu, spełniam uczynioną obietnicę, posyłając przekazem pocztowym datek na cele O. O. Salezyanów z prośbą o zapisanie całej mojej rodziny do *Związku Pomocników Salezyańskich.*

Horodziec (Litwa), 1912.

Wiktor hr. Plater Zyberk.

*
* *

Stosownie do danej obietnicy, składam niniejszem moje najgorętsze podziękowanie Najśw. Maryi Pannie Wspomożenia wiernych, za dwie wielkie łaski, których, po ludzku sądząc, zwyczajną drogą nie byłbym mógł otrzymać. Na podstawie własnego doświadczenia, wyrażam moje najgłębsze przekonanie, że niema łaski, którejby Najśw. M. P. nie uprosiła u Boga dla tego, kto się do Niej udaje z zupełną ufnością. Każdemu przeto będącemu w jakiejkolwiek potrzebie szczerze radzę spróbować tego niezawodnego środka. N. N.

Lwów 24. 10. 11.

Badura Karolina *Markowice*, składa najserdeczniejsze podziękowanie za wyzdrowienie swojej córki i za inne łaski.

Bargiel Jan. *Puszkin-Sosnowiec* za poratowanie w trudnem położeniu.

B. G. za uzdrowienie siostry.

Joszcz Anna, *Berlin*, za wystrowienie z niebezpiecznej choroby.

Kostka Jan, *Josten* (Górny Sląsk), z rodziną za otrzymane dobrodziejstwa.

Kuklikowie Franciszek i Helena *z Brzeszcz* (Galicya) za wyzdrowienie z choroby ócz.

K. P. Majewscy, *Tulce*, za uzdrowienie trzyletniego synka z ciężkiej choroby.

Kunowie Leopold i Maryanna *z Mysłowic* (Górny Śląsk) pomoc w wielkiej potrzebie.

M. E. *z Tarnobrzegu* dziękuje N. P. Maryi W. W. za wygojenie rany, na jaką od roku cierpiała.

Pawletta Franciszek *z Bobrku* (Górny Śląsk) — za uzdrowienie żony.

Polacy *z Katowic-Zabrze* (Górny Ślask) — za zwycięstwo we wyborach do *parlamentu.*

Raszkowskich familia *z Palubic* (Prusy Zachodnie) — za szczęśliwe rozwiązanie i uzdrowienie syna.

Skalska Jadwiga *z Kocierza* (Żywiec) — za wyzdrowienie.

Strzelecki Bartłomiej, *Poznań*, za liczne łaski.

Tempska M. *z Lienfeld* (Prusy Zachodnie) — za podwójne wyzdrowienie i otrzymaną łaskę w pewnej okoliczności.

Zającówna Michalina *Stanisławów* — za odebrane łaski.

Wawrzyniak Franciszek *z Polubic* (Królestwo Polskie) — za poratowanie zagrożonego gospodarstwa.

Nadto dziękują N. P. Maryi Wspomożenia Wiernych za doznane łaski i przysyłają ofiary na Msze św. lub na cele Salezyańskie, a mianowicie na zakład w Oświęcimiu i Przemyślu także następujące osoby.

Galicya:

Antoniewicz Stanisława, nauczycielka, *Koniuszków.* Borek Władysław i Marcela, *Iwonicz.* Czarnota Tomasz, *Zabratówka.* Jakubczyk Regina *Iwonicz.* Janczarz Jan, *Kojszówka.* Fuśkiewicz Marya, *Halicz.* Litwin Józef, *Zabrasówka.* Marcinek Michał, *Zabrasówka.* Sikora Maryanna i Anna, *Lachowice.* Sroka Urszula, *Zabrasówka.* Syc Anna *Koszówka.*

Górny Śląsk:

Jureczków rodzina, *Szewkowice.* Smandzik Joanna. Stefan Piotr i Franciszka-*Radzionków.* Wójcik Józef, *Łany.*

Wielkie Księstwo Poznańskie:

Rymarkiewicz Stanisław, *Rogożno.*

Prusy Zachodnie:

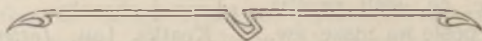
Markowska Leokadya, *Gacki.* Stenka Gertruda *Borowy Las.*

Królestwo Polskie:

Bożek Antoni, ks. kan. prob., *Czeladź.* Rogalska W., *Wiadomor.*

KU CZCI ŚW. FRANCISZKA SALEZEGO

PATRONA ZGROMADZENIA SALEZYAŃSKIEGO.



Przepiękny obchód św. Franciszka urządzono w kościele zakładowym we **Schio**. Po mszy św. przemówił ks. Antoniol. Po południu ks. dziekan wygłosił konferencyę i porównywując ks. Bosko z św. Franciszkiem, uwydatnił w sposób szczególny prace obu tych Apostolów swojego wieku, nad nauczaniem i ewangelizacyą ludu i młodzieży.

Szczęśliwie i trafnie porównał on Zgromadzenie Salezyańskie do drzewa olbrzymiego, ktore nad brzegiem strumienia dostarczającego mu wilgoci i soków, rośnie, kwitnie i owocuje.

Drzewo to Zgromadzenie — strumień to niezliczone zastępy pomocników, którzy swoimi datki i ofiary dostarczają środków tej kongregacyi by mogła nietylko nadal istnieć, ale rozwijać się i pracować i to z powodzeniem na polu przeznaczonem jej od Boga, a tak wyraźnie wytyczonem przez założyciela Czcig. ks. Bosko i następcę Jego, nie odżałowanego św. p. ks. Michała Rua.

Za pomocą Zgromadzenia pomocnicy sal. dostarczają tysiącom pokarmu ciała i duszy, gaszą ich pragnienie cielesne i duchowe, przyodziewają obnażone w szaty a dusze, krwią Przenajświętszą Zbawiciela odkupione, w łaskę uświęcającą.

W mieście **Genui** zebrali się 1° lutego tutejsi Pomocnicy Sal. w bazylice św. Sira. Po mszy św. wystąpił na ambonę głośny apostoł młodzieży uniwersyteckiej Mons. J. Dominik Pini. Przemawiał z nieporównaną, sobie właściwą werwą i życiem, czule jednak i serdecznie, przekonywająco.

Oto co pisze miejscowy dziennik, *Cittadino:*

«.....Na wstępie wykazał dowodnie, iż o wiele trudniej i z mniejszem powodzeniem udaje się obecnie rodzicom wychowanie młodzieży męzkiej aniżeli wychowanie młodzieży płci żeńskiej. Dziatwa męzka zwykle więcej zażywa wolności, i w większej części jej nadużywa. Następnie na żywo przedstawił słuchaczom otoczenie nowoczesnego młodzieńca studenta i robotnika. Poza domem ta niedoświadczona młodzież staje przed oknami wystawowemi sklepów i księgarń i wsiąka w siebie wszystką tę zgniliznę i truciznę, którą niemiłosiernie zieją te nęcące ryciny, ilustracye i sarkastyczne dowcipy. W pracowni, przy warsztacie czyhają na niego bezwstydni mistrzowie i sprośni towarzysze. Na większe jeszcze niebezpieczeństwa narażona bywa młodzież studencka. Prócz powyższych, znajduje ona zbyt często niewiarę, natrząsanie się z wiary i wszystkich świętości w tych, których czci i poważa jako nauczycieli i przewodników życia; książki i podręczniki naukowe, wszystko to sprzysięgło się na jej zgubę i zatracenie.

Temu zalewowi zepsucia i zdziczenia moralnego, skuteczną tamę stawiają ks. ks. Salezyanie swojemi kaplicami świątecznemi, szkołami wieczornemi, zakładami, warsztatami i wydawnictwem książek do czytania i podręczników szkolnych. Lecz daleko im jeszcze, by wszystko zło choć zneutralizowane być mogło. Gdyby Salezyanie więcej mieli środków materyalnych, więcej i z o wiele lepszem powodzeniem pracowaliby na tem polu im jedynie właściwem, gdyż obecnie prócz dobrej woli, której synom Czcigodnego ks. Bosko nigdy nie zabrakło, potrzeba, by czegoś dokonać i środków po temu, a tych niestety najczęściej im brak. Wsparcie, którego się udziela wychowankom w domach salezyańskich przygarniętych, nie idzie jedynie na korzyść jednostek, lecz przynosi korzyść całemu społeczeństwu. Ci młodzieńcy wykształceni w religii i przyzwyczajeni do praktykowania tejże, opuściwszy zakład, staną się wśród całego ich przyszłego otoczenia apostołami religii i cnoty. — Ja, wołał mowca, — com na szczęście mógł

brać udział w zeszłorocznym zjeździe. D. Wych. Salezyańskich, przekonałem się iż są oni prawdziwie świeccy salezyanie.

Polecał tedy żywo by wszyscy popierali i wspomagali salezyanów: polecając zapoznawanie szerokich kół publiczności z dziełami i wydawnictwami salezyańskiemi; wspomagać ich modlitwą gorliwą, datkami pieniężnymi i innego rodzaju, wedle sił każdego, a to tem chętniej o ile silniej wiara poucza nas, iż Pan Bóg nie pozostawi bez nagrody wszelkiej ofiary dla sprawy tak katolicko-chrześcijańskiej, dla Zgromadzenia, które mianuje swoimi założycielami ludzi świętych: ks. Bosko i ks. Rua.

Mowca zakończył swoją konferencyę wzywając błogosławieństwa i pomocy św. Franciszka dla wszystkich obecnych i ich sprawy, dla licznej rodziny Salezyańskiej. Następnie udzielono błogosławieństwa Przenajświętszym.

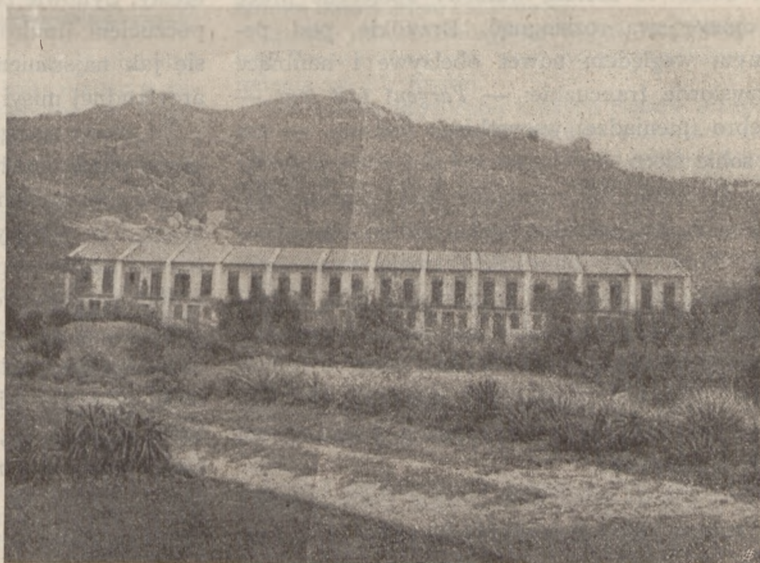
W **Borgotaro**, gdzie w krótce zostanie otwarta kaplica świąteczna pod kierownictwem Synów ks. Bosko, wygłosił 6. lutego do zebranych pomocników, powszechnie znany ze swej wymowy ks. Szczepan Trione. Pomimo późnej godziny kościół przepełniony był słuchaczami.

Po konferencyi — pisze *Giovane Mantagna* — znaczna liczba najpoważniejszych obywateli z wójtem Adwokatem Landim na czele, złączyła się w komitet przygotowawczy, mający się opiekować przygotowaniem i urządzeniem nowej kaplicy świątecznej: z urządzonej składki zebrano 1700 lirów.

W kościele św. Eufrazyi w **Pizie**, ks. Biskup Jan Marenco z Massa-Carrara, odprawił dla zebranych Pomocników mszę świętą ranną. Po południu zaś przemawiał do nich wyłuszczając im słowy prostemi i zrozumiałemi, znaczenie wyrazów: współpracować, pomagać; jak to łatwo i z jak wielkiemi korzyściami dla duszy i ciała można być Pomocnikami Salezyańskimi. W końcu wieczorek na cześć ks. Biskupa.

Na szczegolne wspomnienie zasługuje obchód urządzony w Zakładzie Przen. Serca Jezusowego na *Castro Pretorio w* **Rzymie**, zaszczycony obecnością wielu Prałatów i dostojników wyższych kościelnych. Kazanie o św. Franciszku wygłosił Mons. La-Fontaine, segretarz św. Kongregacyi Obrzędów.

Konferencyę dla Pomocników, bardzo licznie zebranych, miał ks. Dr. Alojzy Olivares, salezyanin, proboszcz Maryi Oswobodzicielki na Testaccio. O niej *Osservatore Romano* pisze: — W tej chwili, zaczął z uśmiechem na ustach, uczucie miłości braterskiej ożywia i uszczęśliwia moje i wasze serca: niechaj sobie one gadają: a my zastanówmy się nad tem, co tak mocno nas łączy i wiąże między sobą.



Pierwszy Zakład misyjny salezyański w Chinach.

Co Pomocnicy dawają Salezyanom? — Bardzo wiele: oni są źródłem ożywiającem roślinność oazy. Oni im dawają pomoc duchowną swej modlitwy, na wzór Mojżesza, wznoszącego błagalnie swe dłonie do Boga za lud wojujący i św. Pawła, modlącego się za Koryntyan. Pocieszają i utwierdzają synów ks. Bosko w ich pracach nad odrodzeniem ludzkości, żyjąc cnotliwie i bogobojnie. Udzielają im pomocy mo-

ralnej: dzieła salezyanskie doznawają nietylko trudności wielkich, ale często i walk na życie i śmierć. W tych walkach sumienie czyste, zadowolenie z wypełnienia własnego obowiązku i łaska Boża są pociechą niewysłowioną: niemniej jednak słodyczą przepełnia serca i otuchy dodaje przekonanie pewne iż się jest zrozumianym, miłowanym i dostatecznie podtrzymywanym od wielu osob, od kroci serc i dusz Bogu miłych. W końcu Pomocnicy dostarczają Salezyanom środków materyalnych by mogli utrzymać przy życiu zakłady już istniejące i by mógli na coraz to szersze warstwy społeczne pracę i opiekę swą rozciągnąć. Brzydkie, pod pewnym względem nawet obelżywe i hańbiące przysłowie francuzkie: — *l'argent fait tout* — srebro (pieniądze) wszystkiego dokona, — ma w sobie nieco, na obecne zaś dni, wiele prawdy: bez środków, bez pieniędzy dziś, pomimo najlepszych chęci, nic albo bardzo mało można zdziałać. Pomocnicy ofiarnością swoją umożebnili Salezyanom otwarcie i utrzymanie tylu różnorodnych prac; Czcigodny ks. Bosko to uznał i z rozrzewniającą wdzięcznością mówi o tem w swym liście testamentalnym: uznawają to i Jego synowie i jak mogą tak okazują Pomocnikom swą wdzięczność.

Lecz cóż to Salezyanie dawają Pomocnikom? Dziwna rzecz. Salezyanie biorą od Pomocników, a jednak oni im chcą dać coś w zamian — i dawają rzeczywiście. Na pierwszem miejscu dawają im sposobność zasłużenia sobie nieba. Dla człowieka mającego wiarę jest to rzecz największej wagi i znaczenia: ilużto obecnie świętych w niebie błogosławi tę uprzykrzoną rękę, która, często mimowolnie, dopomogła im do osiągnięcia tej chwały wiekuistej? Nie zapominajmy obietnicy Chrystusa Pana uczynionej tym, którzy dobrze czynią ubogim, szczególnie maluczkim. Czcigodny ks. Bosko naocznie przekonał się iż ci, którzy nie skąpią ofiary na cele Salezyańskie, obfite odbierają błogosławieństwa i w dobrach doczesnych. Dla tego też On śmiało wchodził do ludzi zamożnych, nie, jako człowiek przychodzący prosić o wsparcie, ale jako człowiek ofiarujący dobrodziejstwo i pomoc. Wielu też majętnych i pańskiej kondycyi dziękowało ks. Bosko gdy do nich przychodził po jałmużnę: przekonani bowiem byli iż nie oni ks. Bosko, ale ks. Bosko im dobrodziejstwo wyświadczył.

Salezyanie dawają Pomocnikom swe modlitwy nieustannie, gdyż z łaski Bożej słońce nigdy nie zachodzi nad dziełem salezyańskiem. Każdej więc chwili z serc kapłańskich i z ust niewinnych wznoszą się do tronu Najwyższego modlitwy za wszystkich Pomocników żywych i umarłych.

Po trzecie oddawają im siebie samych, swoje osoby — swoje zdolności — gdyż za pomocą i sprawą salezyanów Pomocnicy urzeczywistniają swoje zamiary, swoje wspaniałomyślne ideały; Synowie zaś ks. Bosko je odczuwają i z poczuciem doniosłości tego obowiązku starają się jak najsumienniej odpowiadać tej swojej arcytrudnej misyi.

Te proste uwagi powinny nas wszystkich cieszyć i nową napełnić otuchą: Was Pomocników do nieżałowania nam i nadal swej ofiary i pomocy; nas, byśmy mogli coraz to lepiej odpowiadać naszemu posłannictwu, i tak stawać się z dnia na dzień godniejszymi waszego zaufania.

Miałbym jeszcze jedną prośbę, lecz byłaby ona zbyteczną, gdyż o waszej szczodrocie i ofiarności najwymowniej świadczą ten kościół Przen. Serca Jezusowego, i świątynia ze szkołami i kaplicą świąteczną na Testaccio: wasze miłosierdzie, jak ongi za czasów św. Pawła wiara waszych przodków, znane jest całemu światu. Św. Franciszek ze swej chwały niechaj zlewa na nas wszystkich obfite swe błogosławieństwa.

4°. lutego najprzew. ks. Bp. Henryk Marano, dyrektor Pomocników, odprawił w. kościele Przen. Serca Jezusowego na Vomero w **Neapolu**, mszę św. pontyfikalną, w której młodzież i wierni licznie przystąpili do Komunii św. Następnie wszedł na ambonę Mons. Józef Petrone i wystosował do Pomocników doroczną Konferencyę. Mówił o św. Franciszku, o ks. Bosko i o obowiązkach Pomocników i Pomocnic salezyańskich. Uroczystość zakończono błogosławieństwem Przenajświętszego Sakramentu. Po południu jeszcze jedna konferencya O. Gwardyana Franciszkanów Accursio Jacono, i ponowne błogosławieństwo.



Wiadomości Potoczne.

Kronika Zakładów Salezyańskich.

FOGLIZZO. — Pomyślnym zbiegiem okoliczności mieliśmy zaszczyt gościć przez kilka godzin w tutejszym zakładzie X. X. Inspektorów ze wszystkich niemal prowincyi europejskich naszego Zgromadzenia. Przybyli w liczbie dziewięciu 24. marca b. r. i, jako swych podwładnych, poczęli nas darzyć przyjacielską pogawędką, okazując nam prawdziwie ojcowską czułość, opiekuńczą troskliwość.

Na publiczne komplementy przy stole odpowiadali, że są one zbyteczne. ,,Wam się zdaje — rzecze jeden, — iż podejmujemy różne podróże w celu wyświadczenia wam osobistej przyjemności.

Pocóż mielibyśmy aż tym sposobem wyrażać nasze ku wam przywiązanie? Głównym celem naszych zabiegów jest upewnienie się, czy doprawdy siły nasze gotowe i jak rychło będzie można wzmocnić szeregi obarczonych pracą współbraci w tylu domach salezyańskich, gdzie napływająca coraz liczniej młodzież różnych krajów katolickiej Europy, natarczywie domaga się wychowania i światła."

— Najliczniej otaczany bywał ustawicznie przez nas Polaków i paru Słoweńców Przew. Ks. Piotr Tirone, nowy inspektor austryackiej prowincyi. Zasypywaliśmy go poprostu gradem pytań o nasze zakłady w Galicyi i w Krainie: jak tam się mają Przełożeni, Współbracia, co porabiają dawni nasi wychowankowie — czy się dobrze uczą... Odpowiadał, co mógł Czcigodny i ukochany Przełożony a zawsze uprzejmie, ze słodyczą, z pogodnym uśmiechem. Wątpliwości rozstrzygał, w trudniejszych zagadnieniach służył radą, pociechą, zachęcał do pracy naukowej, do postępu w dobrem.

— Odwiedziny takie nader korzystny zwykły wywierać wpływ na sposobiącą się do stanu duchownego salezyańską młodzież zakonną. Spójnia bowiem duchowa, łącząca młode pokolenie z przewodnikami Zgromadzenia o wiele silniej się zacieśnia, a całe grono w przemawiającym do siebie kapłanie słyszy niejako głos samego ks. Bosko, odczuwa urok jego słodyczy.

PRZEMYŚL.—Wśród ciągłych trudności, których powodem jest nowość niniejszej instytucyi na ziemi polskiej, Oratoryum tutejsze rozwija się powoli, ale stale. Miłe dni wiosenne, pozwalające dziatwie bawić się na wolnem powietrzu, ułatwiają pracę wśród tejże i jest mocna nadzieja, że wnet jak najszersze koła naszej dziatwy zapoznają się z wielkim jej miłośnikiem ks. Bosko.

Częścią jednak szczególnie ważną w Zakładzie, jest Towarzystwo kat. uczniów rękodzielniczych, imienia św. St. Kostki.

Jest rzeczą znamienną naszych czasów zrzeszanie się wszelkiej kategoryi ludzi, wszystkich stanów i zawodów. Także organizacya młodzieży postąpiła w ostatnich latach, a szczegolnie Niemcy, Belgia, Anglia posunęły się pod tym względem bardzo daleko. W Galicyi również budzi się od pewnego czasu żywy ruch w tym kierunku i powstały większe stowarzyszenia kat. młodzieży rękodzielniczej w Krakowie, Lwowie, Przemyślu itd. W tym ostatnim, stowarzyszenie uczniów rękodzielniczych istnieje mniej więcej od 8 lat, w różnym składzie i pod różnem kierownictwem. Dla braku lokalu tudzież innych przyczyn, nie zdołało ono dotąd zakwitnąć prawdziwem życiem kat. młodzieży.

Odkąd jednak nowy zakład został ostatecznie ukończony, obudziło się życie i wśród naszej młodzieży rękodzielniczej, wśród tej warstwy, która jest nadzieją dzisiejszego społeczeństwa.

Znane są oratorya salezyańskie dla doroślejszej młodzieży, w których to dostarcza się im wszechstronnych korzyści dla duszy i ciała. Oratoryum Przemyskie, przedstawia się nieco odmiennie mianowicie w tem, że młodzież rękodzielnicza, uczęszczajaca do Zakładu, jest połączona w towarzystwo, zatwierdzone przez c. k. namiestnictwo krajowe.

Dużo się teraz rozprawia o tem, czy patronaże, czy raczej samodzielne towarzystwa są zbawienniejsze dla społeczeństwa. Nie mam zamiaru rozstrzygać w tej sprawie, zaznaczam tylko, iż duch i system ks. Bosko mądrze zastosowany i w jednej i w drugiej formie wyda pożądane owoce, gdyż dąży do tego, by z każdej społeczności stworzyć rozszerzoną rodzinę na zasadach rdzennie chrześcijańskich, a jako taki posiada gwarancyę dodatniego wpływu na jakąkolwiek formę organizacyi.

Oratoryum to, w formie towarzystwa rozwija się coraz pomyślniej. Członków liczy około 160, a liczba ta ciągle wzrasta. Młodzież gromadzi się codziennie wieczorem, by po całodziennej pracy przepędzić kilka chwil wesoło i uczciwie w gronie miłych kolegów i życzliwych jej księży.

Posiada własną czytelnię ze skromną wprawdzie, lecz wciąż wzbogacającą się biblioteką. Są i czaso-

pisma, z których młodzieńcy mogą czerpać potrzebne wiadomości do własnego pożytku i oświaty.

Jako sekcya towarzystwa, istnieje od dawna kółko śpiewackie, liczące obecnie do 40-tu młodych śpiewaków. Zdziwi się może niejeden, gdy usłyszy, iż chór, składający się z samych młodocianych rękodzielników, odważa się spoufalać nawet z takimi mistrzami, jak Palestrina i Perosi; a jednak to prawda. Szkoła śpiewu jest prawie codzienna i rozciąga się tak na teoryę, jak na praktykę. Czasem zwyczajnym popisów dla kółka, to ,,Msza Terminatorów" w niedziele i święta, nadzwyczajnym zaś, wieczorki i większe uroczystości.

W ostatnim czasie powstało również kółko gimnastyczne ,,Sokół," rokujące dobre nadzieje na przyszłość.

Co jednak budzi najwięcej interesu, to przedstawienia sceniczne. Kilkakrotne wystawienie jasełek, świetne powodzenie dramatu p. t. ,,I to się zdarza" dwukrotne wystawienie ,,Syna Marnotrawnego," tudzież powodzenie wielu innych pomniejszych sztuk, świadczy o tem, jak nasze kółko dramatyczne kwitnie i doskonali się.

Tu muszę wspomnieć o niektórych szlachetnych paniach z Zasania które okazały się prawdziwemi dobrodziejkami dla Zakładu i wyżej wspomnianej młodzieży rękodzielniczej. Zaopatrzyły one naszą garderobę w kostyumy wschodnie, z wybornym gustem estetycznym wykonane.

W dni świąteczne Towarzystwo zaczyna swe zgromadzenia wspólną Mszą św. o godz. ósmej. Następnie spędza czas na uczciwej zabawie, czytaniu książek, gazet i innych pożytecznych ćwiczeniach. Po południu nieszpory ; resztę czasu popołudniowego poświęca się na zebrania, konferencye, przedstawienia i, t. p.

Z nastaniem pory wiosennej, zabawy odbywać się będą na wolnem powietrzu, na błoniach i w okolicznych lasach. W uroczystość Zwiastowania N. M. Panny urządziliśmy pierwszą taką wycieczkę na błonia i w lasy przyległe. ,,Sokół" wybierał tam swego naczelnika, następnie urządził nader interesujący manewr ,,sokoli". Wśród tryskającej wesołości szybko mijały godziny popołudniowe, a różnobarwna zorza wieczorna dziwnie jakoś załamująca się na czerstwych , rumianych twarzach młodocianych rękodzielników, zbyt prędko oznajmiała koniec tej pierwszej w tym roku, a tak szczerze wesołej wyprawy.

Niebawem też rozbrzmiały okoliczne lasy echem gromkich pieśni marszowych i w porządku ,,sokolim," z hymnem salezyańskim na ustach wróciła wesoła gromada w progi zakładowe. Tutaj tanią herbatą się pokrzepiwszy, młodzież zabawiła jeszcze kilka chwil, by potem, udać się do swych domów i wypocząć po całotygodniowej pracy.

WŚRÓD DZIECI LUDU.

(Sprawozdanie z naszych kaplic świątecznych).

Pierwszy zarodek, z którego wyrosło olbrzymie dzieło zakładów i szkół salezyańskich, była to sobie prosta, tak zwana kaplica świąteczna: schronisko, przytułek świąteczny i wieczorny, często powszedni, gdzie prócz zabawy udzielano wszystkim nauki katechizmu i innych rzeczy pożytecznych. W ten sposób dobrocią, cierpliwością i odpowiedniem oświeceniem ratuje się i wyrywa z paszczy występku, zepsucia, nieszczęścia i niesławy te istoty, które społeczeństwo piętnowało i po dziś dzień jeszcze piętnuje wyrazem wyrzutków — zbrodniarzy — swych największych nieprzyjaciół.

Tą biedotą, tak bardzo od Zbawiciela naszego ukochaną, zajmują się Synowie księdza Bosko, otwierając jej w dniach i godzinach największego jej opuszczenia, swoje domy. Czy i wiele przez to dobrego im się wyświadcza, wykazują jasno sprawozdania ruchu kaplic świątecznych. Często może jednak zdarza się, że i ten i ów, przeglądając Wiadomości, pyta z niedowierzaniem, czy to czasem nie przesada, czyto nie czcze przechwalanie się?

— 14. stycznia b. r. w kaplicy świątecznej w Gorycyi wszystko odbywa się zwykłym trybem niedzielno-świątecznym. Jednak wprawne i badawcze oko spostrzega coś niezwykłego w zachowaniu się tej młodzieży : jakoś spokojna a nadzwyczaj ruchliwa; coś się wśród niej kotłuje i coraz to bardziej potęguje się to nieopisane naprężenie. Jako w dni skwarne spiekota i ciężkie ołowiane powietrze przygniata wszystko stworzenie, póki straszliwą rozmową i wymianą swych sił nie zrównoważą się żywioły natury i deszcz nie obmyje twarzy przyrody, tak i w tych sercach i umysłach naprężenie i tajemniczość rosła póki znak dzwonka nie sprosił wszystkich do sali teatralnej. Tu, po wieczorku dramatyczno-deklamacyjnym, zaczęto rozdawać nagrody tym, których uznali za najlepszych i godnych nagrody nie sami przełożeni, lecz i uczęszczający do kaplicy. Tu tkwi cała tajemnica: każdy ma swego wybranego, któremu radby koronę na skroń włożyć. Z tem się tail : teraz wolno mu go wszystkim pokazać, wolno mu zawołać : oto ten którego staraniem mojem jest naśladować we wszystkiem: jemu oddaję palmę pierwszeństwa !

Tych wybrańców przełożeni zestawiają i najgodniejszym nagrodę wyznaczają. Takich było aż 130.

Z podobnych obchodów i uroczystości, każdy wynosi przekonanie iż, gdy, wzorując się na swych wybrańcach, wzorowo zachowywać się będzie, i jemu właśni koledzy i towarzysze nagrodę przyznają. Wtedy za postanowieniem idzie niechybnie i czyn.

Inny przykład daje nam znana powszechnie z naszych Wiadomości kaplica tryestyńska. Tu przekonać się można naocznie iż i młodzież starsza, dorosła rada uczęszcza na nabożeństwa nietylko wielkie przedpołudniowe, ale i na nabożeństwa popołudniowe, na nieszpory i nauki.

W niedzielę 20. marca w Tryeście półtora tysiąca młodzieży od roku siodmego aż do liniowych szeregowców i wysłużonych rezerwistów wszystkich warstw, społecznych, przystąpiło podczas mszy św. wspólnej do komunii świętej. Kto choć raz był świadkiem tak imponującego zdarzenia, ten przekonał się raz na zawsze, iż właśnie religijność to najpiękniejsza ozdoba młodzieńczego wieku. O

godz. 10. suma i kazanie, w którem ks. Fei zwracał się szczególnie do dorosłych, wzywając ich za przykładem św. Augustyna do walki przeciwko własnym grzesznym pożądliwościom, przeciwko złudnym ponętom świata.

Dla tego ruchliwego jednak wieku potrzeba i pożytecznej zabawy. Osobliwie wieczory trzeba im zająć, gdyż wielu, kółko rodzinne wcale do siebie nie przyciąga, przeciwnie może ich nawet i odpycha. I o to postarano się tu w niedzielę. W towarzystwie swego Arcypasterza, wielu Panów i Pań i niezliczonej ilości mieszczan, spędzili ten wieczór w sali teatralnej, słuchając wymownego O. Luddiego Dominikanina. Przemawiał on na temat: „Ratujmy młodzież" ilustrując po mistrzowsku najmilsze nam osoby zgromadzenia Salezyańskiego, duchowieństwa świeckiego i zakonnego i osoby świeckie na tem polu zasłużone, zasługujące na imię prawdziwych przyjaciół młodzieży i opiekunów robotnika.

Na utrzymanie jednak tych ognisk oświaty, tych środowisk wychowania opuszczonej młodzieży potrzeba wiele środków. Prócz tego wszystkim wiadomo, jak płocha i niestała jest ta nasza dziatwa i jak żądna nowych ciągle wrażeń. Stąd zmienność jej charakteru, łamanie przedsięwzięć.

Aby temu zapobiedz i coraz to bardziej zacieśnić przywiązanie opuszczonej dziatwy ku kaplicy świątecznej, użyli Pomocnicy nasi miasta Aleksandryi w Egipcie, bardzo pochwały i naśladowania godnego sposobu.

Komitet zarządu miejscowego kółka Michała Ruy, urządził na dobro kaplicy świątecznej przepiękny wieczorek dobroczynny i sam wystarał się wprzód o odpowiedni zasób darów dla dzieci opuszczonych.

W zabawie tej wzięła udział prócz prezesa kółka i jego godnej małżonki, władza miejscowa i wiele zamożnych mieszczan i mieszczanek. Zagaił wieczorek p. Aleksander Madiona, wyświetlając gorącemi słowy dobroczynną działalność kaplic świątecznych śród młodzieży opuszczonej nietylko, ale i wśród młodzieży szkolnej i rękodzielniczej, która tu wedle potrzeby znajduje przytułek, oświatę i uzupełnienie wychowania religijnego i cywilnego.

Po nim przemawiał ks. Dyrektor Dr. Mancini, dziękując wszystkim obecnym i ofiarodawcom za życzliwość i wspieranie kaplicy świątecznej. Uczęszczającą zaś do niej młodzież upomniał, by wszelkich dokładała starań, aby się stać i okazać godną względów i opieki wszystkich warstw mieszczaństwa. Następnie wykonano okolicznościowy hymn chóralny, z akompaniamentem kapeli instrumentalnej.

W imieniu dziatwy wygłosił podziękowanie dobrodziejom i katechetom kaplicy jeden z chłopców, poczem nastąpiło rozdawanie nagród i podarunków.

Zakończono wśród pochwał dla urządzających wieczorek, poczestnem dla gości.

Z Różnych Stron.

Chociaż głównym celem Zgromadzenia naszego jest wychowanie młodzieży, nie uchyla się ono, w razie istotnej potrzeby — od pracy duszpasterskiej, przyjmuje obsługę parafii lub kapelanii. I na tem polu Pan Bóg błogosławi pracy naszych współbraci. Jego Eminencya kardynał Maffi, zwiedzając parafię w Marina koło Pizy, obsługiwaną przez Salezyanów, wyraził swój podziw i zadowolenie z przyczyny dobra, które działa wśród tamtejszej ludności ks. proboszcz. — „Najżywsze składam księdzu proboszczowi dzięki, mówił najdostojniejszy książe kościoła, za opiekę ojcowską, jaką otaczasz te moje owieczki. Uznaję wszystkie trudności i dolegliwości, które napotykasz i znosić musisz, i tem większą czcią i uwielbieniem pała serce moje ku waszemu zgromadzeniu, co tak wspaniałomyślnie przyszło mi z pomocą tam, gdzie duchowieństwo moje nic wskórać nie mogło.

Po Bogu i Najświętszej Maryi Wspomożycielce, największą wdzięczność winienem księdzu, co jesteś tem błogosławionem narzędziem, którem posługuje się Ojciec niebieski, by otoczyć troskliwością swą miłosierną te dusze tak drogo odkupione.

Tymczasem dzieło salezyańskie rośnie: przybywa ciągle nowych kaplic świątecznych. W Polsce mamy przemyską, jakto każdy wyczytał z przyjemnością w Wiadomościach kwietniowych i niniejszych. Nowe otwarto w Ameryce Południowej w Chile w Talca i La Serena.

W Hiszpanii została poświęcona krypta (podziemie) narodowej świątyni na gorze Tibi Dabo, koło Barcelony.

Na zakończenie tych wiadomości musimy wspomnieć o doniosłem wystąpieniu byłych wychowanic Córek Wspomożycielki Wiernych. Urządziły one wspaniały zjazd, by wspólnie naradzić się, jak działać przynależy by ruch kobiecy na prawdziwie chrześcijańskich zatrzymać torach, w ramach rodziny i społeczeństwa, bez wdzierania się w dziedzinę spraw męzkiej wymagających głowy i siły. Wielce interesującą była dyskusya nad potrzebą i istotą samopomocy i samoobrony wobec przewagi wielu mężczyzn. Po rozprawach przyszła kolej na powzięcie uchwał odpowiednich celowi obrad i potrzebom społeczeństwa, które od żony i matki oczekuje swego odrodzenia rodzinnego, moralnego i ekonomicznego.

INGRES I INTRONIZACYA J. E.

KSIĘCIA BISKUPA KRAKOWSKIEGO SAPIEHY.

Niedawno temu rzuciło pewne polskie czasopismo pytanie czy i na jakiej podstawie można uważać wyrazy Polak i katolik za blizkoznaczniki, za synonimy? Pytanie to jednak bez wielkiego przebrzmiało echa, gdyż już naprzód dało było odpowiedź wyczerpującą miasto stołeczne królów Polskich jednogłośnym, zgodnym chórałem: Polak,

chłop on czy szlachcic, robotnik, przemysłowiec czy pan, póty jest Polakiem, póki katolikiem. Pamiętny będzie ów dzień w historyi naszej, kiedy Kraków witał i wprowadzał w swe mury Syna zasłużonej Rodziny, gdy przy dźwiękach radosnych Starego Zygmunta osadzał na tronie św. Stanisława nowego Arcypasterza.

W sobotę 2. marca popołudniu zebrał się na dworcu cały Kraków by powitać swego nowomianowanego Biskupa. Przyjęcie iście było katolickie, polskie. Prezes miasta, Dr. Leo, powitał przybywającego jako duszpasterza, Ojca, potomka sławnego rodu.

„Miłością, prawił mowca, zdobyłeś Sobie serce Następcy Piotrowego, miłością dzierżyć będziesz silnie i trwale rząd dusz w Swej starożytnej, przesławnej dyecezyi. Za te skarby duszy Twojej my Ci już dziś hołd i cześć składamy i ślubujemy Ci, że znajdziesz w nas zawsze wiernych i oddanych ojczyźnie i Kościłowi synów. Modlić się będziem do Boga Najwyższego, by przez rządy Twe spłynęło błogosławieństwo Boże i sława dla narodu, dyecezyi krakowskiej i dla tego jedynego miasta polskiego.

Niechaj łaska Boża towarzyszy wszelkim zamiarom i czynom Twoim, niechaj rządy Twe przysporzą nowego blasku tronowi biskupów krakowskich, a pokoju i szczęścia mieszkańcom Krakowa."

Książę Biskup odpowiedział dziękując wszystkim za przyjęcie, jakiego świat dzisiejszy nie zna: uprawniające rokowanie najlepszej przyszłości, owocnej pracy nad dobrem trzody, której obecnie stawał na czele.

Przed dworcem oczekuje zwarty tłum ludności. Na widok ks. Biskupa morze głów się odkrywa, i pochyla; okrzyk witaj nam i niech żyje wyrywa się z tysiąców piersi, i płynie i towarzyszy pochodowi aż do stóp Królowej korony Polskiej — do kościoła Maryackiego, stąd do rezydencyi biskupiej. Tutaj powitał go kanclerz konsystorza X. kan. Dr. Nikiel i wręczył chleb i sól oraz klucze pałacu. Przybraną krzewami sienią i schodami przeszedł książę biskup do kaplicy pałacowej. Wychowankowie małego seminaryum, zebrani w kaplicy, odśpiewali: *Ecce sacerdos magnus;* książę-biskup udzielił błogosławieństwa uczniom i miejscowemu duchowieństwu, a następnie przeszedł do swych apartamentów. Przy wejściu klucze, chleb i sól ofiarował X. biskup Nowak.

Nazajutrz rano o godzinie 9. książe-Biskup wyruszył w towarzystwie duchowieństwa i tłumów ludu na Wawel.

Pierwsza ceremonia odbyła się po przekroczeniu progu katedry. Archidyakon dopełnił wskazanych programem obrzędów kościelnych, wręczył kłucze katedry Wawelskiej na tacy i wprowadził Księcia-biskupa do kościoła przy śpiewie chóru: *Ecce sacerdos magnus.* Książę-biskup wstąpił do kaplicy N. Sakramentu, a następnie odbył adoracyę przed ołtarzem św. Stanisława.

W stallach presbiteryum i rzędach zajęli miejce Biskupi, duchowieństwo, władze, członkowie rodziny i krewni ks. ks. Sapiehów, reprezentacye narodowe, miejskie szkolne, towarzystw, redaktorzy czasopism, itd. Nawy boczne przepełnione ludnością.

Po odczytaniu bulli papieskiej, X. biskup Nowak stanął przed księciem-biskupem i powitał go imieniem całego duchowieństwa, oraz wszystkich wiernych dyecezyi, temi mniej więcej słowy:

„Najprzewielebniejszy książę-biskupie! Objąłeś przesławną katedrę krakowską mieszczącą relikwie św. Stanisława, który dał głowę w obronie prawdy i sprawiedliwości. W tej świątyni królom wkładano korony na głowę; tu spoczywają śmiertelne ich szczątki. Jesteś siedmdziesiątym czwartym z rzędu biskupem krakowskim; z wielką radością wita Cię cała dyecezya krakowska, wita kapituła, duchowieństwo świeckie i zakonne, oraz młodzież duchowna. Wierzymy, że do nas przychodzisz jako posłaniec Boży, jako pasterz, ojciec i biskup, któremu Chrystus Pan przez swego Namiestnika polecił cząstkę swej owczarni wiernej, jako stróżowi Kościoła św., prawdy Bożej, czystości obyczajów. Wierzymy, że z ustanowienia Bożego masz rządzić tą dyecezyą, masz paść trzodę Bożą, masz być ogniwem, które duchowemi węzłami łączy i zespala nas z Kościołem katolickim i Stolicą apostolską.

Witamy Cię z tem większą radością i czcią tem głębszą, że nowym, niebywałym dotąd w dziejach tej katedry blaskiem opromienisz prastarą stolicę biskupią. Sakrę biskupią otrzymałeś z rąk Ojca św.; byłeś jednym z najbliżej przy nim stojących kapłanów. Rozumiemy, jak trudnem jest zadanie, które wola Boża włożyła na Twoje barki; bądź przekonany, że chcemy Ci pomagać w dźwiganiu brzemienia, dzielić Twoje troski, jakie ponosić będziesz w sprawowaniu arcypasterskiego urzędu."

Wreszcie poświęcił X. biskup Nowak gorące słowa pamięci kardynała Puzyny i jego działalności, podniósł solidarność między duchowieństwem a zgasłym pasterzem; podniósł owocną działalność duchowieństwa dyecezyalnego i zaufanie, jakie sobie zdobyło; zakończył zapewnieniem, że duchowieństwo prosić będzie Boga, aby błogosławił pracom i zabiegom księcia-biskupa dla dobra dyecezyi i narodu.

Książę-biskup powstawszy z tronu, podziękował X. biskupowi Nowakowi za pracę w dyecezyi i prosił go o dalszą pomoc; podziękował duchowieństwu i uczestnikom uroczystości.

Chór kleru odśpiewał hymn dziękczynny *Ciebie Boże* przy dźwiękach „Zygmunta"; podczas tego kapituła katedralna, oraz duchowieństwo świeckie i zakonne złożyło tak zwane *homagium* czyli posłuszeństwo nowemu pasterzowi. Kolejno zbliżali się kapłani do tronu i składali pocałunek na pierścieniu biskupim. W czasie *Te Deum* dzwoniono we wszystkich kościołach krakowskich.

Następuje uroczysta pontyfikalna suma, i kazanie księcia Biskupa, które sprawiło głębokie wrażenie. Wypowiedziane było głosem spokojnym. W miarę mówienia, ożywiał się głos a zapał mowcy i głęboka wiara, łagodność i mądre nauki, pełne troskliwości o dobro narodu, jednały serca zebranych wiernych.

Na zakończenie uroczystości X. sekretarz Niemczyński odczytał upoważnienie Ojca św. do udzielenia apostolskiego błogosławieństwa z odpustem zupełnym. Książę-biskup udzielił błogosławieństwa i odpustu, poczem przy dźwiękach chóru *Gaude Mater Polonia* Wesel się Matko Polsko, opuścił katedrę, żegnany na placu zamkowym przez uczestników uroczystości.

Wśród tego wesela i uroczytości ks. Biskup nie zapomniał o cząstce wybranych swej dyecezyi, o ubogich. Po powrocie z ingresu udał się w towarzystwie kanclerza konsystorza Dra Nikla do klasztoru SS. Miłosierdzia. Przyjęcie odbyło sę w kaplicy, gdzie książę-biskup udzielił błogosławieństwa. W klasztorze nawiedził książę-biskup ubogich, których w liczbie 150 podejmował obiadem. Drugi taki obiad, również dla 150 ubogich, odbył się w Domu pracy na Kazimierzu, gdzie również przybył książę-biskup na dłuższą chwilę. Był też książę-biskup w klasztorze XX. Misyonarzy na Stradomiu, gdzie przyjął deputacyę lwowskiej „Skały" i dał obiad dla duchowień stwa i zabawił dłużej wśród grona kapłanów. Toast na cześć księcia-biskupa wzniósł X. dziekan Slaski. Książę-biskup serdecznie podziękował.

Wieczorem o godz. 6 odbył się w pałacu biskupim obiad, który zgromadził przeszło 150 osób, przedstawicieli władz rządowych i autonomicznych duchowieństwa i obywatelstwa ze wszystkich dzielnic Polski.

Nowemu arcypasterzowi życzymy z serca, by szczęśliwie mógł przeprowadzić pogram wytyczony sobie: uczynić wiarę podstawą i duszą każdego, nietylko jako jednostki, ale i jako czynnika społeczeństwa. My zaś słuchajmy nauk Jego i módlmy się o błogosławieństwo Boże, by trudności, których pewnie nie zabraknie, nie zdołały zniweczyć tak miło zapowiadających się owoców.

ROZMAITOŚCI.

Miesiąc Maryi.

Sędziwy doktor Maryan Wisłocki dobywał z obszernej szafy tuż obok swego biurka jednę księgę po drugiej: stare, pożółkłe, wierne pomocnice w leczeniu tylu chorób, zwłaszcza trudniejszych, bardziej zawikłanych. Szukał jednego tomu, którego właśnie było mu potrzeba, ale go nie znalazł; a przecież ledwo dwa miesiące temu, miał go po dręką, w wypadku zupełnie do obecnego podobnym: tasama choroba długa, żmudna, trapiła biednego szewca z przeciwległego domku i z wielką radością i zadowoleniem udało mu się go uzdrowić.

Dzisiaj potrzebował tejsamej książki: jedyna córeczka jego serdecznego przyjaciela leżała poważnie chora już od miesiąca i mocno suszyła głowę panu Wisłockiemu.

Jużci na tem chorobsku poznał się odrazu, lecz w tych dniach przybrało ono inne objawy, dziwaczne a pewien był, iż w tym tomie znalezie wyjaśnienie ich dokładne i odpowiednie i skuteczne środki zapobiegawcze.

Włożył książki napowrót do szafy i zbliżył się do otwartego okna: w ogrodzie panował rozrzutnie, bujał maj świeży, młody, kwiecisty — pan Wisłocki grzebał w swoich myślach.

Ach... właśnie parę tygodni temu, uporządkował ze służącym Stanisławem, niewiele młodszym od pana Wisłockiego, swą biblioteczkę domową, skromną wprawdzie ale wyborną i wtedy wrzucili kilka starych książek z wierszami do osobnej skrzyni — niegdyś także pan doktor Wisłocki był.... poetą — i prawdopodobnie szukany tom przez pomyłkę poszedł razem z wierszami na emeryturę.

Zawołał Stanisława, zabrał klucz od magazynu, dokąd kazał zanieść ową skrzynię z książkami i obaj poszli szukać upragnionego tomu.

W magazynie musieli usunąć z drogi duży kosz i rodzaj pudła, co im zawadzały w posuwaniu się naprzód. Lecz owe pudło ciężyło za bardzo względnie do swej wielkości i pana doktora zebrała ciekawość, co w niem może się znajdować?

Do tego pokoju pan Wisłocki nie wstępował nigdy. Wiedział, iż stanowił on niby skarbiec, gdzie przechowywały się wszystkie dawne pamiątki rodzinne, w towarzystwie kilku przestarzałych i zużytych mebli.

Stanisław poszukał kawałek ostrego żelaza i odsadził wieczko pudła. Cofnęli się obaj zdumieni. Niewieści posążek marmurowy, biały, delikatny, oprószony tu i ówdzie cienką warstwą pyłu, patrzał na nich ślicznie jak mała bogini. Przez otwarte okno wpadało do wnętrza radosne słońce i złote jego promienie umizgały się do białości jej czoła.

Doktor Wisłocki zapomniał w tej chwili i książkę, której szukał i chorobę córeczki przyjaciela. Inne czasy i inne myśli budziły się w skołatanej jego głowie......

Kwitnęły podówczas głogi. Gorzka ich woń rozchodziła się po polach jako woń kadzidła — wstępowała aż hen na wzgórze ku wiejskiemu kościółkowi. W tej wiosce mały Maryan Wisłocki, jeszcze wtedy nie doktor ale uczeń, choć pilny ks. plebana, swego stryja, ujrzał po raz pierwszy światło dzienne. Maj śliczny kwitł i śpiewał w naturze, ale śliczniejszy maj promieniał w prostej i niewinnej duszy Maryana.

Jaskółki krążyły na wyścigi około drewnianej wieży i dzwony rozbrzmiewały co wieczór uroczystym chórem, a śpiew ich wysoki odbijał się wiernem echem w sercu małego Wisłockiego.

W kościółku na ołtarzu wśród świec i kwiatów jaśniała biała Pani: wieczorne słońce niosło Jej złoto i rubiny i zorzaną aureolą otaczało Jej skroń dziewiczą.

Podczas gdy stryj odczytywał przed ołtarzem modlitwy, ulubiony synowiec jego Maryan ruszał srebrnym trybularzem, wkładając pokryjomu kadzidła poddostatkiem, tak iż stryj kaszlał i obracał się w tył z rozkazującem — dosyć! Ale nadaremnie. Maryanowi podobały się tak bardzo one niebieskawe chmurki, wznoszące się, wstępujące z jego trybularza srebrnego coraz wyżej, coraz wyżej aż do białej Pani, jaśniejącej tam wysoko, która przez nie wydawała mu się raczej niebieskiem widzeniem niż rzeczywistością! I mały Maryan śpiewał, śpiewał jak anioł swoim głosem dźwięcznym, czystym pieśni jasnej niebios Pani, słodkiej Matki dzieci dobrych...

Wtedy Maryan miał jeszcze matkę, dobrą matkę, która posiadała w swojej izdebce posążek Najśw. Panny, tejsamej, co z ołtarza panuje w kościółku parafialnym.

A potem?.... potem ks. pleban rozstał się ze światem i w kilka lat później także rodzice Maryana umarli, jeden niedługo po drugim; lecz inny stryj, z zawodu lekarz, zabrał go do siebie i pozwolił mu odbywać dalej swe nauki i naprowadził go na drogę, którą oczywiście niebo mu wyznaczyło. Mały Maryan został doktorem Wisłockim, powagą wśród lekarzy.

Urok tych lat pierwszej młodości uśmiechał się do niego zdaleka szczęściem i bujnem życiem i dzisiaj sędziwy doktor korzył się jeszcze przed białym posążkiem Niepokalanej Pani, tak wielce czczonej przez jego matkę i choć czuł się blizki grobu, rozpływał się we wspomnieniu słodkiem i słonecznem dni dawno minionych...

W środku ogrodu stoi smukła kolumna marmurowa, a na jej wierzchu rozgląda się płochliwie bogini *Flora*. Stanisław przychodzi w tę stronę z drabinką, kładzie ostrożnie na trawę jakiś przedmiot, potem przystawia do kolumny drabinkę i wstępuje po niej z młotkiem. Rozlega się kilka głośnych uderzeń i pani Flora, co z tej wysokości witała już tyle kwietnych wiosen, rozpada się z wielkim trzaskiem.

Poczem Stanisław zstępuje na dół i biorąc w prawą rękę przedmiot położony na trawie, znowu wchodzi w górę po drabince. I śród zieleni sosen i jodeł, śród rozkwitłego maju róż i kwiatów panuje piękność prawdziwa i radość niebieska, króluje statua biała i foremna Dziewicy Maryi.

Tak u schyłku życia wzorowego i chrześcijańskiego rozjaśnia nanowo troski duszy doktora Wisłockiego święta postać białej Pani, co rozwidniała pierwsze jego kroki. Córeczka przyjaciela jeszcze leży śmiertelnie chora, ale sędziwy doktor nie traci nadziei. Wie, że w Lourdes Niepokalana Królowa, której jako chłopiec tak hojnie słał kadzidło z srebrnego trybularza, przywraca zdrowie tym, co zwątpiwszy w sztukę ludzką, do Niej się uciekają o pomoc i pociechę. Modlił się długo o to uzdrowienie w ogrodzie, przed białą swą Panią, modliła się o nie także rodzina chorej i chora sama z łoża cierpień wzniosła myśl ufną do Maryi.

I Królowa dziewic dokonała cudu; córeczka przyjaciela jest już zdrowa i hoża.

Natomiast w duszy doktora Wisłockiego jakieś niewymowne budzi się pragnienie, jakaś tęsknota ogromna. Stary już jest, sterany i czuje coraz wyraźniej, że życie jego, spalone na ołtarzu poświęcenia dla bliźnich, zdąża do kresu. Nogi nie chcą go więcej słuchać, oczy zachodzą mu niekiedy mgłą, tak iż z wysiłkiem ledwo może czytać nieodstępną mu w tych dniach książeczkę, prześliczne *Echa majowe* Maryi Konopnickiej.

Oto wieczór ostatniego dnia majowego! Zachodzące słońce oblewa czerwonawem złotem marmurową kolumnę i Niepokalaną na niej Królowę maju, doktor Wisłocki zmęczony, wyczerpany siedzi na ławce pod kolumną. W ogrodzie cisza wieczorna, uroczysta, świat dookoła jakby zamilkł na chwilę: ale cisza jeszcze uroczystsza panowała w duszy Maryana Wisłockiego. Książeczka wypadła mu z ręki i ośliznęła się na ziemię — on patrzał w dal modrą zamyślony. Nagle pełne łez oczy podniósł na białą Panią — złotawe blaski słoneczne rozjaśniły jego dziwnie tęstkne oblicze — usta śpiewały pieśń majową:

Chwalcie łąki umajone,
Góry, doliny zielone;

I zdawało mu się, jakoby biała Pani rosła, ulatywała, płynęła hen w górę daleko aż do niebieskich bram, a za Jej śladem otwierał się mleczny gościniec; dwa rzędy aniołów w śnieżnej bieli, z błękitnemi pióry wyłaniają się po jego brzegach, w dłoniach ich lilie i róże, któremi zapraszają spracowangeo wygnańca w ojczyste miasto. Doktor Wisłocki już tylko sercem dośpiewał ostatnie dwa wiersze:

I co czuje i co żyje,
Niech z nami sławi Maryę!

Wyciągnął ręce przed siebie jak gdyby chciał biedz — głowa opadła mu na piersi.

W godzinę później wierny Stanisław zakłopotany zdąża do ogrodu po swego pana; nie widział go jeszcze wracającego, a wieczór wilgotny, może mu zaszkodzić.

Doktor Wisłocki siedzi tam na ławce pod kolumną, ale książka leży u jego stóp na ziemi, a spokojna twarz starca ma w sobie białość marmuru... Biała Pani zabrała zmęczoną duszę tego sprawiedliwego do królestwa wiecznego maju.

Za pozwoleniem Władzy Duchownej. — Redaktor odpowiedzialny: Józef Gambino.
Drukarnia Międzynarodowej Spółki Wydawniczej — Turyn, Corso Regina Margherita 176.
Odpowiedzialny redaktor na Austro-Węgry: G. B. Monauni. (Trento-Austria).

WAŻNE!

Celem zakładu salezyańskiego w Oświęcimiu jest wychowanie i wykształcenie biednej młodzieży narodowości polskiej.

Zakład nie posiada żadnych funduszów i utrzymuje się z dobroczynności publicznej, z jałmużny na Msze św. i z drobnych opłat chłopców, które pokrywają zaledwie część ogromnych wydatków.

Corocznie nadchodzą setki podań o przyjęcie, atoli dla braku miejsca nie może być uwzględniona ani czwarta ich część, i zakład ograniczać się musi na obecnej liczbie 250 chłopców, ustanawiając przytem następujące:

Warunki Przyjęcia.

1. Ze względu na to, iż biedni chłopcy, dla których zakład ten przeznaczono, po ukończeniu klas zakładowych, nie będą mogli ponosić wydatków, połączonych z dalszą nauką, będą przeważnie uwzględnione prośby chłopców zgłaszających się do rzemiosła.

2. Rzemieślnicy zaś, prócz fachowego wykształcenia rękodzielniczego pobierać będą w systematycznie prowadzonych klasach naukę religii, języka polskiego i niemieckiego, rysunków, rachunków, socyologii, technologii, buchalteryi i muzyki. Świadectwa wyzwolenia będą wystawiane jedynie tym terminatorom, którzy naukę rzemiosła i wymienione nauki teoretyczne z dostatecznym postępem ukończyli.

3. Obecnie dział rzemieślniczy dzieli się na cztery warstaty: ślusarski, krawiecki, stolarski i szewski.

4. Mając jednak na względzie chłopców, objawiających nadzwyczajne zdolności i powołanie do stanu duchownego, udzielamy im prywatnej nauki gimnazyalnej, stosując się jak najściślej do szkolnych przepisów krajowych.

5. System uprzedzający, zastosowany w domach salezyańskich, wywiera bardzo pomyślny wpływ nawet na chłopców wielce żywego temperamentu i poprzednio tak zaniedbanych, że każdy inny system wychowawczy okazałby się dla nich bezskuteczny. Pomimo tego zakład ten nie jest z zasady domem poprawy, i dlatego nie przyjmuje się chłopców wydalonych z innych zakładów, ani młodzieży skądinąd znanej ze skażonych obyczajów.

6. W miesiącu lipcu dozwolone będą roczne wakacye: podczas roku szkolnego zaś nikomu nie pozwoli się wychodzić z zakładu.

7. Chłopcom nie będzie wolno kupować lub przyjmować artykułów spożywczych i napojów dla własnego użytku: a gdyby im takowe nadesłano, będą spożyte wspólnie. Złożone na ich rzecz pieniądze, przechowywane będą u Przełożonych na potrzeby właściciela.

8. Zakład nie mający żadnych stałych funduszów, utrzymuje się z codziennych zapomóg Opatrzności, a swej dobroczynności udziela w miarę potrzeb ubogiej młodzieży, trzymając się niewzruszenie zasady Ks. Bosko: „Nie jest rzeczą słuszną, ażeby korzystał z obcej dobroczynności, kto coś swego posiada.“

W myśl tej zasady:

a) Sieroty bez ojca i matki, które nic własnego nie posiadają, przyjęte zostaną zupełnie na koszt zakładu.

b) Kto ma ojca i matkę lub też oboje, albo posiada jakąś własność, powinien według własnych sił ponosić wydatki na utrzymanie, książki i. t. d.

c) Aby się upewnić że ofiary naszych dobrodziejów idą na korzyść najgodniejszych poparcia chłopców, **nie będzie się czyniło regularnie żadnych ustępstw w piewszem półroczu, lecz tylko później, i to po uwzględnieniu dobrego postępu ucznia.** W każdym razie miesięczna kwota na utrzymanie nie będzie wyższą od 22 koron dla studentów, a 12 dla rzemieślników.

9. Wyprawa każdego wychowanka obejmuje:

a) Ubiór mundurowy i czapkę według wspólnego wzoru, **do nabycia w zakładzie.** Dwa ubiory na dni powszednie i płaszcz zimowy. Dwie pary kamaszy, czapka zimowa i letnia do codziennego użytku.

b) Sześć koszul. — Trzy koszule zimowe. — Sześć par gaci. — Dziesięć par skarpetek. — Dwanaście chustek do nosa — Pięć ręczników. — Szczotki, grzebień; które to rzeczy można nabyć w zakładzie lub gdzieindziej.

c) Na łóżko, prześcieradła, poszewki, materac, kołdry, złożyć należy na wstępie 30 koron. **Chociażby chłopiec pozostał w zakładzie kilka lat, kwota ta raz tylko złożoną będzie, a nie zwraca się jej, chociażby uczeń miesiąc tylko zatrzymał się w zakładzie.**

d) Zakład postara się o pranie i naprawianie bielizny za kor. 4.50 kwartalnie.

e) Zakład podejmuje się sporządzenia tak ubiorów, jak obuwia i dostarcza przedmiotów kancelaryjnych, książek, papieru i znaczków pocztowych za ich zwykłą cenę.

UWAGI:

1. Przyjęcie chłopców do zakładu następować będzie corocznie w pierwszej połowie lipca; zgłoszenia nadesłane w ciągu roku będą musiały czekać aż do tej pory na stanowczą odpowiedź.

2. Prośby o przyjęcie wnosić raczej piśmiennie aniżeli ustnie.

W każdej prośbie należy dokładnie oświadczyć, czy polecony chłopiec jest stanowczo przeznaczony do nauki lub jakiego rzemiosła lub czy zostawiono woli przełożonych wybór jego zawodu.

Zwraca się uwagę na to, że chłopiec oddany do rzemiosła, liczyć powinien, według ustaw krajowych, przynajmniej lat 14, a co się tyczy nauki, ukończyć powinien wpierw ostatnią klasę ludową; do nauk zaś przyjmuje się jedynie chłopców, wykazujących się chlubnemi świadectwami z ostatniej klasy elementarnej i od Ks. Proboszcza.

3. Do prośby dołączyć należy następujące świadectwa:

a) metrykę urodzenia, *b*) świadectwo szkolne, *c*) świadectwo moralności od Ks. Proboszcza, *d*) świadectwo zdrowia *e*) świadectwo sieroctwa lub ubóstwa, dla tych co chcą być przyjęci na koszt zakładu.

4. Rodzice i opiekunowie zechcą przy wstępie ucznia piśmiennie oświadczyć, że przyjmą napowrót chłopca, gdyby tenże z jakichbądź powodów zakład opuścić musiał.

5. Aby zapobiedz niepotrzebnym wydatkom podróży, które bywają połączone z obustronnem niezadowoleniem, oświadczamy, że nie przyjmuje się stanowczo nikogo, ktoby nie przedstawił formalnego przyjęcia ze strony Dyrekcyi zakładu.

6. Listy adresować należy:

Do Dyrektora zakładu Ks. Bosko
w Oświęcimiu (Galicya)

